MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 6. WARSZAWA, 29 STYCZNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZGODNIE Z TRADYCJĄ

Z KÓŁ lewicy francuskiej, zarówno radykalnej jak socjalistycznej, odzywają się raz po raz głosy, przemawiające za koniecznością poddania rewizji postanowień terytorjalnych traktatów pokojowych z r. 1919. Kto się temu dziwi, ten nie zna historji myśli politycznej we Francji.

Ci, co się oświadczają za rewizją traktatów, czynią to dlatego, iż sądzą, że jest to konieczny warunek pojednania się z Niemcami. Otóż wypada stwierdzić, że nastroje germanofilskie towarzyszą stale „radykalnym" i „socjalistycznym" poglądom politycznym. Nie jest wszak już dziś dla nikogo tajemnicą, że między tymi, co przygotowali Wielką Rewolucję, a tajnemi związkami rewolucyjnemi w Niemczech ścisłe istniały stosunki. Weisshaupt i illuminaci bawarscy byli przecież związani z wolnomularstwem francuskiem, byli bodaj tegoż wolnomularstwa inspiratorami. Nie zakończyło się to na rubieży wieku XVIII, lecz ciągnęło się przez cały wiek XIX, a wzmocnienie masonerji i jej wpływów szło zawsze w parze ze zwiększaniem jej nastrojów ugodowych. Wojna lat 1914—1918 rozluźniła te związki, lecz kto miał okazję czytania sprawozdań z zebrań konwentów Wielkiego Wschodu, ten wie, że zaraz prawie po zakończeniu wojny zaczęły się wysiłki, by zerwane nici nawiązać, by na dawnej tradycji oprzeć politykę porozumienia między dwoma państwami, mającemi granicę na Renie.

Napoleon III, hołdując wytrwale ideologji rewolucyjnej, przyczynił się walnie do powstania Niemiec zjednoczonych, pozostawiając bowiem Austrję jej losowi w starciu z Prusami w r. 1866, był właściwym sprawcą klęski austrjackiej pod Sadową.

Po upadku Napoleona III wahały się losy ustroju politycznego we Francji. Wiadomo, że mało brakowało do restytucji monarchji, wszak większość parlamentu była wierna Burbonom i gdyby nie rozdwojenie między dwiema linjami rodziny panującej we Francji, kto wie, coby się było stało. Jest też dostateczna ilość dowodów na to, że zdecydowanym zwolennikiem ustroju republikańskiego dla Francji był Bismarck. Pamiętniki ks. Hohenlohego, drugiego posła niemieckiego w Paryżu po klęsce sedańskiej i hr. de Gontaut-Biron, ambasadora francuskiego w Berlinie, przypomniane świeżo przez znanego publicystę i historyka, Bainville'a, w jego najnowszej książce p. t. „Bismarck"—przynoszą aż nadto dowodów nie tylko na to, lecz na to także, iż kanclerz żelazny prowadził bardzo wytężoną akcję, zmierzającą do przechylenia szali zwycięstwa na korzyść obozu republikańskiego.

Wypada dalej pamiętać o tem, jak wielką rolę w formowaniu się umysłowości francuskiej w ostatniem ćwierćwieczu XIX stulecia odegrała filozofja niemiecka — Kant i jego następcy. Widział to dobrze i stwierdził Renan, nietrudno nakreślić nieprzerwaną linję tradycji, idącą od książki p. de Staël o Niemczech, aż do najnowszych pisarzy obozów radykalnego i socjalistycznego.

Mając to wszystko w pamięci, dochodzi się do wniosku, że bardziej logiczni i bliżsi tradycyj obozu „postępowego" są pisarze i politycy, grupujący się na lewicy stronnictwa radykalnego, pp. Cot, Pfeiffer, Keyser i t. p., niż tacy przedstawiciele starszego pokolenia radykalistów, jak p. Herriot i jemu podobni, którzy pamiętają o związkach przyczynowych, jakie istniały między Sadową i Sedanem i patrzą realnie na położenie europejskie.

Kto nieuwzględnia przeszłości, kto nie bierze pod uwagę ciągłości historycznej, ujawniającej się w poglądach i programach pewnych obozów i grup, ten nietylko nie może zrozumieć różnych przejawów życia współczesnego, lecz nie jest także w stanie należycie ocenić ich znaczenia. Politycy praktyczni obozu lewicowego we Francji, ludzie, mający oczy otwarte na to, co się dzieje koło nich i w całej Europie, wiedzą, że urzeczywistnienie dążeń niemieckich na wschodzie Europy prowadziłoby z fatalną koniecznością do wzmożonej z ich strony presji na granicy zachodniej, że powtórzyłoby się to, co się stało w wieku zeszłym, gdy po Sadowie nastąpił Sedan, że apetytów niemieckich nic nasycić nie jest w stanie, że to, co się dzieje i dziać

będzie nad Wisłą wpłynąć musi w sposób decydujący na rozwój wypadków nad Renem. Nietylko względy natury uczuciowej grają rolę, gdy chodzi o stanowisko polityczne Herriota i jemu podobnych, lecz także ścisła rachuba polityczna i znajomość przeszłości. Ci działacze radykalni natomiast, którzy mówią wciąż i piszą o rewizji traktatów, mają oczy zamknięte na rzeczywistość, lecz żyją w zwietrzałej już dziś i oderwanej od rzeczywistości ideologji obozu radykalnego. Są w zgodzie z tradycją, lecz w konflikcie z życiem i jego wymaganiami.

STANISŁAW KOZICKI

OSWALD BALZER

GDY w mroźne i ponure popołudnie dnia 13 stycznia żałobny pochód odprowadzał na miejsce ostatniego spoczynku zwłoki Oswalda Balzera, w myślach wszystkich uczestników tego smutnego obrzędu czaiła się świadomość, że ze zgonem wielkiego uczonego odwróciła się jedna z najpiękniejszych kart w dziejach nauki polskiej i cywilizacji polskiej wogóle i że zapewne wiele czasu upłynie, wiele wieków może, zanim znajdzie się podobna jednostka. Droga, którą szedł kondukt żałobny jakby symbolicznie zbiegała się z drogami, któremi do codziennej pracy przez wiele dziesiątków lat zdążał Zmarły. Wiodła bowiem najpierw ulicą św. Mikołaja, popod Uniwersytet, gdzie prawie przez pół wieku ś. p. prof. Balzer wykładał historję ustroju Polski. Następnie przeszedł kondukt obok kościoła OO. Bernadynów, gdzie Zmarły spędził pełne półwiecze, pracując w Archiwum Ziemskiem, pomieszczonem w gmachu kościelnym. Tyle pokoleń widziało sylwetkę ś. p. prof. Balzera dwa razy dziennie, przemierzającego wspomniana ulice, że dziwnem się wydawało, iż to już droga ostatnia.

Jakie jest dzieło życiowe Oswalda Balzera? Wieleby o tem przyszło i przyjdzie pisać, to jednak jest niewątpliwe, że było to dzieło wielkie i że wiąże się przedewszystkiem z historją nauki polskiej. Gdziekolwiek i jakkolwiek przyszło bowiem działać zmarłemu, był on przedewszystkiem pracownikiem naukowym, pojmując tę pracę jako służbę ojczyźnie.

Wyszedł ze szkoły najlepszej, bo Ksawerego Liskego, który po studjach na uniwersytetach niemieckich zaszczepił na terenie lwowskim znakomite zasady metodyczne, ukształcone w słynnych niemieckich seminarjach historycznych. Z drugiej strony kształcił się ś. p. prof. Balzer i pod kierunkiem Michała Bobrzyńskiego. W przemówieniu wygłoszonem na uroczystości jubileuszowej w r. 1928, za trzeciego swego mistrza poczytywał Romualda Hubego. „Właśnie w czasie mojego studjum uniwersyteckiego" — mówił — „Romuald Hube był w trakcie ogłaszania swojej trylogji, poświęconej historji naszego prawa średniowiecznego. Z jego prac zaczerpnąłem nietylko nieznanych przedtem wiadomości o urządzeniach prawnych owego czasu; były one mi zarazem nową szkołą ścisłej, krytycznej metody badania, oględności i wstrzemięźliwości w kształtowaniu sądów naukowych".

Jeśli chodzi o plan życiowy Oswalda Balzera w dziedzinie naukowej, można powiedzieć, że obejmował on trzy przesięwzięcia. I tak pierwsza większa praca, ogłoszona w roku 1886, była to praca o „Genezie trybunału koronnego". Bezpośrednio jednak potem rozstał się autor z wiekiem szesnastym i przeszedł do wcześniejszych czasów piastowskich, opracowując stosunki rodzinne Piastów w olbrzymiej „Genealogji Piastów" (1895) po której ogłosił wnet potem (w roku 1897) opracowanie materjału, zawartego w „Genealogji". Uczynił to mianowicie w rozprawie „O następstwie tronu w Polsce, cz. I". Gdyby ktokolwiek z uczonych polskich był w życiu swojem wykonał te tylko prace, starczyłyby były one za dowód sumiennego wywiązania się z obowiązków życiowych. W dorobku ś. p. Oswalda Balzera prace te stanowią jednak tylko fragment jego działalności. Wnet bowiem po nich przeszedł do systematycznego wydawania i opracowywania dawnego ustawodawstwa w Polsce. I tak przedtem już, w roku 1891, ogłosił był w „Kwartalniku Historycznym" artykuł — „*Corpus iuris Polonici*, program wydania zbioru ustaw polskich średniowiecznych i regesta tychże ustaw". Następnie, w porozumieniu z Akademją Umiejętności, plan ten rozszerzył i na czasy nowsze, równocześnie zaś szczególną uwagę zwócił na jeden z zabytków ustawodawstwa średniowiecznego, t. j. na statuty Kazimierza Wielkiego. W ten sposób w roku 1906 ogłosił olbrzymi tom „*Corpus*", jako tom trzeci wydawnictwa, obejmujący akty z lat 1506-1522, w roku zaś 1910 ogłosił pierwszy fascykuł tomu IV-go. Tom ten miał objąć lata 1523—1534, za życia jednak ś. p. prof. Balzera nie ukazał się żaden dalszy zeszyt tego tomu. W papierach pośmiertnych pozostał bogaty zbiór materjałów, który umożliwi kontynuację tego zasadniczego wydawnictwa.

Od tej kontynuacji oderwały Zmarłego prace nad statutami Kazmierza Wielkiego. Prace te uważał ś. p. Balzer za dzieło swego życia, niestety nie zdołał ich ukończyć. Winne temu było nietyle samo olbrzymie zagadnienie, ile ta okoliczność, że temperament polemiczny Zmarłego nieustannie odrywał go od prac nad statutami. Dość powiedzieć, że w międzyczasie ogłosił trzytomowe „Królestwo Polskie", wielki tom monografij o najdawniejszych polskich daninach i przygotowywał obszerne dzieło o początkach państw słowiańskich. Jeśli chodzi o to, co Zmarły zdołał wykończyć w odniesieniu do statutów, to trzeba stwierdzić, że przeprowadził najgruntowniejsze studjum rękopisów i rozpoczął pisanie samej monografji. Niebawem jednak to przerwał, poświęcając się pewnym pracom przygotowawczym. Jak opowiadał, miał wykończyć dwie takie prace. Jedna z nich wiązała się z wpływami prawa rzymskiego, które stwierdzić można w statutach. Ś. p. prof. Balzer odniósł te wpływy do Kadłubka, który sam przesiąkł studjami prawa rzymskiego, a dawszy im wyraz w swej kronice, naszpikowanej cytatami z prawa rzymskiego, oddziałał w ten sposób na następne pokolenia, wychowywane w szkołach kościelnych na jego kronice jako na podręczniku. Zagadnienie to potraktował ś. p. Zmarły bardzo obszernie, dając pełną monografję o Mistrzu Wincentym. Monografja ta, której brak jedynie ostatniego rozdziału, zbierającego wyniki, pozostała w rękopisie i zapewne niebawem ujrzy światło dzienne. Drugiej pracy przygotowawczej nawet nie zaczął. Fragment właściwej pracy, poświęconej statutom, liczy ok. 10 ark. druku i zapewne też niedługo publikowany zostanie na podstawie pośmiertnego rękopisu; podobnie, jak

i ostatnie z przedsięwzięć Zmarłego, podjętych ubocznie, to jest fragment dzieła o początkach państw słowiańskich.

Mimo, iż różne prace odrywały Zmarłego od wykonywania planu naukowego, powziętego zgóry, powiedzieć jednak można, że tak prace „planowe“, jak też i prace, podejmowane w drodze doraźnej decyzji, łączą się w jeden wielki obraz syntetyczny. Szczególne miejsce zajmuje w nim ocena elementów rodowych, właściwych dawnemu ustrojowi polskiemu. Do tych konkluzyj doszedł Zmarły, opracowując stosunki dynastyczne Piastów, te same idee rozprowadził następnie w dziele pt. „Królestwo Polskie”. Prace te podkreśliły elementy rodowe, właściwe ustrojowi politycznemu, t. j. związane z ustrojem dynastji. W tych jednak już dziełach zwrócił ś. p. prof. Balzer uwagę, że ustrój rodowy dynastji był tylko odbiciem ustroju rodowego, właściwego całemu najdawniejszemu społeczeństwu polskiemu. Specjalną uwagę tym ostatnim zagadnieniom poświęcił Zmarły w trzech rozprawach, drukowanych w „Kwartalniku Historycznym“ w latach 1898, 1899, 1910 i w ten sposób dał najpełniejszą z posiadanych w naszej nauce syntezę naszej przeszłości cywilizacyjnej. Młodszość, a zarazem archaiczność naszych urządzeń społeczno-politycznych pozwoliła nam na ukształtowanie państwa i społeczeństwa w formach praaryjskiego ustroju rodowego, podczas gdy inne ludy aryjskie budowały swą przeszłość społeczną i polityczną już na innych podstawach. Dzięki takiemi ujęciu, badania prof. Balzera będą posiadały zasadnicze znaczenie dla każdego badacza prawa praaryjskiego i będzie zadaniem współczesnego pokolenia uczonych polskich, by niemożliwe było pisanie w jakimkolwiek języku o tem zagadnieniu bez znajomości dzieła życiowego ś. p. prof. Balzera. Ale i dla historyka czasów rzymskich i doby średniowiecznej badania te posiadają znaczenie zasadnicze. Dotąd wyróżniano dwa światy cywilizacyjne, oparte na różnych pojęciach prawnych: świat własności indywidualnej rzymskiej i świat średniowiecznej własności podzielonej, dającej podstawę pod ustrój feodalny. Badania prof. Balzera pozwalają obok tych dwu światów wskazać miejsce i dla trzeciego, dla świata cywilizacji prawnej, opartej na zasadach własności rodowej i jej przeżytków. I jak badania Fustel de Coulanges’a, Dopscha i innych wskazują na związki, które łączą w zasadzie świat feodalny ze światem rzymskim, tak też i badania prof. Balzera nad romanistyką Kadłubka i romanizacją polskich pojęć prawnych rozszerzają zakres tego zagadnienia i na urządzenia słowiańsko-polskie, podejmując tem samem wielkie zagadnienie romanizacji cywilizacyjnej w średniowieczu. Kto zatem i to zagadnienie poruszy, nie będzie mógł zatrzymać się w opracowaniu jego na wschodnich granicach Niemiec.

Nie wszystkie to prace Zmarłego. Pisał i o urządzeniach prawnych Ormian lwowskich, osobną monografję poświęcił skarbcowi i archiwum koronnemu w dobie przedjagiellońskiej. Z pozostałych prac zasługuje na bliższą uwagę jeszcze studjum „Z zagadnień ustrojowych Polski“ i jego część druga: „Z zagadnień ustrojowych Polski, nowe spostrzeżenie i uwagi“. Wyżej wspmnieliśmy, że Zmarły był m. i. uczniem Bobrzyńskiego. Pozostawał też przez długi czas pod wpływem idej naukowych Borzyńskiego; w roku 1890 na II Zjeździe historyków polskich we Lwowie stanął nawet w obronie t. zw. szkoły krakowskiej, odpowiadjąc na zarzuty, postawione tej grupie uczonych przez Tadeusza Korzona. W „Zagadnieniach ustrojowych” przeciwstawił się natomiast bardzo wyraźnie szkole krakowskiej, wywołując z jej strony silne uwagi polemiczne (zabierał głos i Bobrzyński).

Stosunek ś. p. Oswalda Balzera do nauki nie da się jednak ująć tylko w formułkę uczniostwa czy Liskego, czy Bobrzyńskiego. Było to umiłowanie pracy naukowej jako takiej, służba nauce „czystej“. Praca ta — mówił Zmarły we wspmnianem już przemówieniu — „dawała mi rozkosz duchową, jaką pozatem znaleść nie łatwo, dawała pełne zadośćuczynienie. W tem zadośćuczynieniu tkwła i tkwi dla mnie po dziś dzień nagroda wszystkich poniesionych trudów, wszytkiej wyłożonej pracy“.

Zgodnie z tym swym stosunkiem do nauki chciał widzieć w uniwersytetach przedewszystkiem świątynie wiedzy, przygotowywanie zaś do zawodów praktycznych uważał za zadanie wtórne uniwersytetów. Stanowiska tego bronił namiętnie w pierwszych miesiącach naszej niepodległości, kiedy kształtowały się zasady naszych studjów wyższych. Bronił więc tezy, że wydziały prawne nie mogą za główne swe zadanie uważać przygotowywania do zawodu prawniczego, że nie jest głównem zadaniem wydziałów filozoficznych przygotowywanie kadr nauczycieli. Wyrażał przytem pogląd, że owo zadanie poruczone uniwersytety tem sumienniej będą mogły spełniać, im sumienniej pielęgnować będą naukę jako taką.

W praktyce pogląd swój realizował jako kierownik seminarjum prawno-historycznego i redaktor „Studjów nad historją prawa polskiego“, w których pomieszczał prace swych uczniów.

Nie koniec na tem działalności ściśle naukowej ś. p. Balzera. Był zdania, że zasadniczem dopełnieniem uniwersytetów winno być zgrupowanie uczonych w towarzystwach naukowych, realizujących większe przedsięwzięcia naukowe, przedewszystkiem w formie druku prac, następnie też organizujących takież przedsięwzięcia i dających możność wymiany myśli na zebraniach naukowych. Myśl tę uskutecznił Zmarły, organizując w roku 1900 Towarzystwo dla popierania nauki polskiej, w którem objął zrazu stanowisko wiceprezesa, po śmierci zaś Małeckiego stanowisko prezesa. Staraniem swem doprowadził następnie w roku 1920 do przeorganizowania Towarzystwa dla popierania nauki polskiej na „Towarzystwo Naukowe“, zbudowane na podobieństwo Akademji Umiejętności. W towarzystwie tem był jednostką najczynniejszą, poświęcając przeważną część swego czasu na zajęcia administracyjne, prowadząc korektę każdego wydawnictwa. W tem dziele swego życia stworzył jednak coś więcej, niż placówkę naukową, stworzył jasny posterunek najpiękniej pojętej cywilizacji polskiej na kresach południowo-wschodnich.

Jako człowiek o uznanem stanowisku naukowem, zabierał głos w najważniejszych sprawach publicznych, nie ograniczając się zresztą do akcji słownej. Trudem swym wszak wybronił Morskie Oko dla Polski. Zabierał głos, odpowiadając na zarzuty Mommsena, odmawiającego dorobkowi Słowian wszelkiego znaczenia ogólnocywilizacyjnego, przemawiał w rocznicę Grunwaldu. Od chwili utworzenia Towarzystwa Naukowego, w każdej ze swych dorocznych, klasycznych mów poruszał najważniejsze kwestje, wiążące się z życiem duchowem współczesnej Polski. Na kilka dni przed śmiercią zabrał też głos w sprawie przygotowywanej nowej ustawy uniwersyteckiej.

W historji cywilizacji polskiej pozostanie przedewszystkiem jako przykład bezmiernej pracowistości i zupełnego oddania się swemu zadaniu życiowemu. Pozostanie następnie jako ten, w którego pracowni w czasach niewoli schroniła się myśl o państwie polskiem. Żyło ono bowiem w pełni barw na kartach jego dzieł i zwiastowało chwilę niepodległości.

Największym może jednak jego tytułem do zasługi będzie jego oryginalność. Był uczniem różnych mistrzów, wyznawał ich poglądy, w badaniu jednak naukowem był sobą, na najwyżej pojętą naukową miarę światową. W przeszłości naszej narodowej przeważa, niestety, moment recepcji nad wszelaką własną twórczością. Siła nasza leży nietyle w przeszłości, ile w zadatkach na wielką przyszłość. Ta przyszłość zaś będzie wielka wtedy, gdy będzie wypływem własnej, oryginalnie pojętej twórczości. Z tych przyczyn jest ś. p. Oswald Balzer świetlanem zjawiskiem w naszej cywilizacji.

Na kartach jej dziejów pozostanie niezniszczalnie i po wiekach nazwisko jego będzie wymieniane tak, jak dziś nazwiska czy Pawła Włodkowica, czy Wojciecha z Brudzewa, czy braci Śniadeckich.

Cześć jego świętej i wielkiej pamięci.

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

WALKA O AUTONOMJĘ UNIWERSYTECKĄ

(Ciąg dalszy)

5. TENDENCJE WSPÓŁCZESNEJ BIUROKRACJI POLSKIEJ NA TERENIE UNIWERSYTECKIM

TA BIUROKRACJA właściwie jest jeszcze ciągle w stadjum tworzenia się, narastania, zaczerpnąwszy przeważnie swoje siły w chwili tworzenia się, przed 14 laty, z zaboru austrjackiego, gdyż inne zabory (pruski i rosyjski) prawie nie miały polskich sił, poza niższemi. Stąd więc zaszczepione przez austrjacką biurokrację centralną tendencje wytworzenia pewnej osobnej sfery biurokratycznej i przeciwstawiania jej społecznym grupom i tendencjom — przeniosły się częściowo i na grunt administracji ministerjalnej w stosunku do uniwersytetów. Zrobiona pośpiesznie ustawa uniwersytecka z lipca 1920 r., uchwalona wśród wrzawy wojennej, a więc niezupełnie wykończona, nosiła te cechy tymczasowości i pewnego kompromisu między słusznemi i dawnemi żądaniami autonomicznemi, a dążeniami podporządkowania uniwersytetów władzy administracyjnej Ministerstwa. To też przy praktycznem jej stosowaniu, zależnie od tego, jakie tendencje przejawiały się w zarządzie administracyjnym Ministerstwa, przychylne dla autonomji, czy jej wrogie, okazywały się jej ramy albo zupełnie wystarczającemi dla życia wewnętrznego uniwersytetów, albo też zbyt ciasnemi. Nacisk panów referentów jednak zaczął być coraz silniejszy, coraz więcej „wyjaśnień", ku temu celowi zmierzających zaczęło się ukazywać, zwłaszcza gdy czasy inflacji zmuszały do dużych ograniczeń budżetowych, które były, jak dawniej za czasów zaborczych, tak i teraz, najlepszym i najdogodniejszym momentem do jednoczesnego ograniczenia praw autonomicznych. Dlatego już w 1922/23 r. w kołach uniwersyteckich coraz więcej zaczęto odczuwać konieczność nowelizacji w kierunku sprecyzowania wyraźnego praw autonomicznych uniwersytetów, zamiast niejasnej dotychczasowej wykładni, stosowanej chętnie przez niektórych referentów, zdaje się niekiedy jako próba działania na własnę rękę: ograniczenia do właściwej, zdaniem ich, miary, zbyt wybujałych co do pojęcia autonomji zapatrywań. W najbliższych latach zostały, zdaje się, we wszystkich wyższych uczelniach, utworzono osobne komisje przez Senaty lub oddzielne Wydziały dla nowelizacji Ustawy z 1920 r. Posiadam takie zawiadomienie, podpisane na mocy uchwały Senatu Akademickiego z dn. 8 kwietnia 1924 przez p. Rektora ś. p. Łosia — o wyborze mnie na członka „Komisji mającej na celu wypracowanie wniosków co do nowelizacji niektórych artykułów Ustawy o Szkołach Akademickich".

Już wtedy odczuto coraz większe niedomagania w funkcjonowaniu powołanego do administracji szkolnictwa wyższego Departamentu IV Ministerstwa oraz jego stosunku do polskich szkół akademickich, jak to wyraźnie stwierdza pismo Konferencji Rektorów Szkół Akademickich z dn. 1 lutego 1925, powołując się na samym początku na memorjały Senatu najstarszej Jagiellońskiej szkoły i Senatu Uniwersytetu Stolicy państwa, wystosowane do Ministerstwa W. R. i O. P. Przez jasne wytknięcie istniejących braków i wskazanie środków zaradczych pragnie zarazem Konferencja Rektorów dopomódz do należytego zorganizowania i podniesienia powagi naszej najwyższej władzy administracyjnej szkolnictwa, jak niemniej do wprowadzenia w stosunek tej Władzy do Szkolnictwa Wyższego harmonji i wzajemnego zaufania. Dotychczasowym sposobem urzędowania Departamentu IV-go powaga ta, wobec administracyjnych funkcjonarjuszów szkół wyższych, zbyt często była na szwank narażona, zarządzenia zaś przezeń wydawane wywoływały rozgoryczenie nie tylko wśród profesorów, lecz także wśród młodzieży akademickiej.

Ten wstęp ogólny pisma Konferencji do Pana Ministra W. R. i O. P. z dn. 1 lutego 1925 r., a więc jeszcze w erze przedmajowej, wskazuje, zdaniem mojem, na te objawy, które powyżej podkreśliłem, że nacisk biurokratyczny wciąż się wzmagał, niezależnie nawet od metod zmieniających się dość często ministrów, którzy często hamowali ten nacisk, gdy zbyt jaskrawie się przedstawiał, ale przeważnie obojętnie go traktowali, jako przemijające objawy biurokratyczne, z któremi się często nie czuli na siłach walczyć. Dlatego słusznie Konferencja Rektorów uderzała nie w Ministra, ale w Departament IV t. j. zespół administracyjny, jako głównego winowajcę w zakłóceniu normalnego autonomicznego życia wyższych uczelni. Te zarzuty przeciw biurokracji wówczas już, to jest przed 7 miu laty, tak są charakterystyczne także i dla obecnych stosunków i także dla nich miarodajne, że warto powtórzyć te zarzuty, ażeby stwierdzić, że nie wiele się od tych czasów zmieniło i Rozporządzenie p. Prezydenta z 27 października r. b. oraz Projekt nowej ustawy Uniwersyteckiej—są tylko jaskrawem

zaostrzeniem tendencyj, istniejących jeszcze przed majem 1926 roku.

W szczególności więc stwierdziła Konferencja Rektorów, co następuje:

1) Departament IV wprowadza niejednokrotnie dezorganizację w pracę naukową i pedagogiczną Szkół Wyższych i pozbawia ją niezbędnej ciągłości, a mianowicie: przez przewlekanie obsady podstawowych działów nauczania lub dokonywanie jej niezgodnie z wnioskiem Rady Wydziałowej powoduje kilkumiesięczne przerwy w wykładach i marnowanie czasu przez młodzież; przez szablonowe, formalistyczne i nadmiernie biurokratyczne traktowanie wniosków nominacyjnych oraz przez wychodzące poza właściwy jego administracyjny zakres działania poddawanie rewizji kwalifikacyj kandydatów, ocenionych zgodnie z przepisami ustawy (art. 42 Ust. o Szk. Akad.) i uznanych przez odnośny Wydział i Senat, pozbawia szkoły często doskonałych i wypróbowanych sił fachowych, przez dowolny rozdział lub kreślenie asystentur powoduje zastój lub przynajmniej zamieszanie w pracy naukowej i pedagogicznej zakładów lub nawet całych Wydziałów.

2) Sprawy o charakterze wybitnie naukowym (jak doktoraty, magisterja na Wydziale Filozoficznym, przepisy egzaminacyjne, programy studjów) lub sprawy administracyjne pierwszorzędnej wagi (jak budżet roczny) Departament IV-ty załatwia często w sposób, przynoszący szkodę nauce i szkolnictwu wyższemu, bez żadnego zgoła lub przynajmniej bez istotnego porozumienia ze szkołami i bez poszanowania tradycyjnej naukowej autonomji szkolnictwa wyższego, sprowadzając przez to szkoły akademickie do urzędu niższej instancji, wobec którego bezwzględną swobodę decyzyj Ministerstwa w całej pełni warować i zaznaczać należy.

3) Departament IV-ty w wielu wypadkach nie chce, czy nie umie udzielić interesom szkół wyższych należytej opieki i skutecznej pomocy w stosunku do innych władz państwowych (Ministerstwo Skarbu, Spraw Wojskowych i t. p.) lub samorządowych, jak nie chce, czy nie umie, zapobiec uszczuplaniu przez ciała ustawodawcze ustawami późniejszami zakresu praw, przyznanych szkołom akademickim i ich organom Ustawą z dnia 13 lipca 1920 r. nr. Dz. 72 poz. 494.

4) Mimo niejednokrotnie wygłaszanych, idących w daleką przyszłość programów, Departament IV-ty nie okazuje rzeczywistej troski o rozwój nauki i szkolnictwa wyższego, który dokonywać się może nie koniecznie na drogach, kolidujących z postulatami sanacji skarbowej, najgoręcej uznanemi przez wszystkich członków szkół akademickich.

5) Przez sposób załatwiania spraw małostkowy, a niejednokrotnie wadliwy w formie i treści, przez arogowanie sobie uprawnień na terenach, należących ściśle do ciał nauczycielskich, Departament IV-ty podkopuje powagę i wzajemne zaufanie w stosunku między szkołami akademickiemi, a ich najwyższą Władzą administracyjną.

6) Przez wchodzenie w następstwie niebacznych zarządzeń w bezpośrednie zetknięcie z młodzieżą akademicką i udzielanie jej reprezentatom przyrzeczeń i obietnic Departament IV-ty wprowadza szkodliwy ferment w stosunek młodzieży do jej bezpośrednich władz szkolnych i niepożądany niepokój w życie akademickie.

7) Zarządzeniami spóźnionemi, nieprzemyślanemi i ciągle zmienianemi lub wręcz niewykonalnemi, informowaniem o toku i stanie spraw zupełnie fałszywem lub nieumiejętnością udzielania wogóle informacyj miarodajnych, nielojalnem załatwianiem spraw, niezgodnie z poprzedniem porozumieniem lub żądanemi przez siebie wnioskami szkół, Departament IV-ty wprowadza zupełny rozstrój w administrację szkół akademickich.

Stwierdziwszy powyższy stan rzeczy, Rektorzy szkół wyższych doszli do przekonania, że tolerując go w dalszym ciągu i współdziałając z Departamentem IV-tym w jego dotychczasowych sposobach urzędowania, wzięliby na siebie część odpowiedzialności za dokonywającą się stopniowo i w coraz wyższej mierze destrukcję i dezorganizację wyższych uczelni. Uważają zaś, że jedynym środkiem zaradczym, gwarantującym wejście administracji szkolnictwa wyższego na normalne tory, może być tylko zupełna zmiana obsady, organizacji i metod pracy w Departamencie IV-tym Ministerstwa W. R. i O. P. tak, aby Departament tenrozumiejąc zadania i wysokie stanowisko szkolnictwa akademickiego, w sposób sprawny i właściwy ułatwiał i chronił jego byt i rozwój.

Konferencja Rektorów oświadcza, że w poczuciu swoich praw i obowiązków, sprawy powyżej przedstawionej z oka nie spuści, lecz konsekwentnie i z całą siłą dążyć będzie do naprawy istniejącego stanu rzeczy dla dobra Państwa i jego szkół akademickich.

Ks. Kazimierz Zimmermann, Uniwersytet Jagielloński; Władysław Dziewulski, Uniwersytet Stefana Batorego; Włodzimierz Sieradzki, Uniwersytet Jana Kazimierza; Franciszek Krzyształowicz, Uniwersytet Warszawski; Zygmunt Lisowski, Uniwersytet Poznański; Karol Wątorek, Politechnika Lwowska; Stanisław Niemczycki, Akademja Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie; Czesław Skotnicki, Politechnika Warszawska; Jan Krauze, Akademja Górnicza w Krakowie; Jan Sosnowski, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

6. PRÓBY NOWELIZACJI USTAWY O SZKOŁACH AKADEMICKICH z 13 LIPCA 1920 r.

Jak wysunięte przez Konferencję Rektorów z 1923 r. zarzuty wskazują, chodzi tu o zarzuty błędnego i ze szkodą dla nauki postępowania administracji w stosunku do wszystkich wyższych uczelni, które stało się systemem, wynikającym z niewłaściwego pojęcia o prawach uczelni w zakresie ich autonomji, jaki sobie wytworzyła biurokracja ministerjalna ze szkodą dla samej sprawy. Takie położenie wymagało tembardziej przyśpieszenia prac w kierunku nowelizacji ustawy uniwersyteckiej, celem jasnego sprecyzowania tych jej artykułów, które mogły być dalej wykorzystywane w sensie szkodliwym dla autonomji i ze szkodą dla sprawy rozwoju nauki. Niestety, nie znam projektów nowelizacji ustawy o szkołach akademickich, jakie powstały w różnych uczelniach. W Jagiellońskim uniwersytecie też były robione próby sformułowania oddzielnych artykułów ustawy w sposób jaśniejszy i bardziej precyzujący istotę naszej autonomji, ale ich nie znam, gdyż do „wypadków majowych" nie były przedstawiane do ostatecznego uchwalenia na Radach Wydziałowych, a potem na Senacie. Spróbowałem i ja na Wydziale Rolniczym przedstawić do rozważenia i uchwały

swoją koncepcję, która, po umotywowaniu przezemnie, została przez Radę Wydziałową uchwalona dnia 11 maja 1925 r. i przesłana potem do wiadomości innym Wydziałom i Senatowi. Przesłałem także ten projekt kilku znajomym profesorom z innych uniwersytetów i otrzymałem odpowiedzi przychylne dla projektu. Ale niestety dla losów dotychczasowej Ustawy przeważała wówczas opinja, że wprawdzie zmiany byłyby potrzebne, wszelako lepiej nie budzić licha, nie budzić czujności nieprzyjaznej, biurokratycznej, a tylko bronić tego, co się posiada. Jakkolwiek byłem przeciwny tej opinji jako nazbyt oportunistycznej, bojącej się zawsze wszelkiej walki, a raczej skłonnej do biernego oporu, nie mogłem jej zmienić, tylko dalej nie przestawałem ostrzegać, że ostatni jest czas na nowelizację Ustawy.

Nie mam możności obecnie przedstawić całości mojego projektu, napisanego jeszcze w lutym 1922 r., a który wnikał w znaczną część artykułów Ustawy 1920 r., a to ze względu na jego obszerność. Mam przekonanie, że przyjdzie czas, którego zapewne już nie dożyję, iż główniejsze zmiany dla utrwalenia w przyszłości koniecznej autonomji wyższych uczelni będą musiały pójść w naznaczonym przezemnie kierunku, bo tego będzie wymagało życie. Tu podam tylko zmianę, a właściwie uzupełnienie moje artykułu 1-go Ustawy, co ma samorząd szkół akademickich obejmować, ponieważ art. 1 bardzo ogólnie i niejasno to mówi, twierdząc tak (art. 1):

„Ustawa niniejsza określa zasady ustroju szkół akademickich w sposób jednolity. W granicach jej zostaje przyznany każdej z nich samorząd i możność wydawania własnego statutu, zawierającego przepisy szczegółowe i rozwijającego podane tu zasady. Przepisy te nie mogą się sprzeciwiać podanym tu postanowieniom“...

Mój proponowany dodatek do tegoż § 1 był taki: Do Art. 1 wstawić:

Samorząd szkół Akademickich obejmuje:

a) w zakresie naukowym:

1. Prawo ustalania i wprowadzania programu naukowego dla poszczególnych studjów.

2. Prawo powoływania wszelkich pracowników, uznanych przez właściwe władze akademickie za odpowiednich na dane stanowisko.

3. Prawo nadawania stopni naukowych i zawodowych, oraz godności akademickich.

b) w zakresie budżetowym (finansowym):

1. Prawo zarządzania swoim majątkiem, udzielonym czyto przez sejm, czy przez osoby prywatne w drodze fundacyj, czy też w innej drodze przez Uniwersytet nabytym.

2. Prawo rozporządzania poszczególnemi sumami w ramach budżetu, samodzielnie opracowanego, zatwierdzonego przez Ministerstwo W. R. i O. P. i uchwalonego przez Sejm.

3. Prawo urządzenia i samodzielnego prowadzenia własnej rachunkowości pod ogólną kontrolą państwową.

c) w zakresie administracyjnym:

1. Prawo samodzielnej administracji wszelkich zakładów i instytucyj akademickich“.

Przytoczę tu jeszcze proponowaną zmianę par. 86 Ustawy z 1920 r., która została przez Radę Wydziału Rolniczego dn. 11 maja 1925 r. przyjętą: Zamiast dotychczasowego brzmienia: „Rada Wydziału ma prawo ograniczania liczby przyjmowanych studentów za zgodą Ministerstwa W. R. i O. P.“ — wprowadzić brzmienie, proponowane w Sejmie przez wniosek posła Kiernika, a mianowicie:

„Rady Wydziałowe Szkół akademickich określą co roku dla każdego Wydziału najwyższą liczbę studentów i wolnych słuchaczy, która ze względu na rozporządzalne miejsce i środki naukowe, może w danych warunkach korzystać z pełnym pożytkiem ze studjów. Przy przyjmowaniu studentów i wolnych słuchaczów, niezależnie od ogólnych warunków w Ustawie przewidzianych, należy także przestrzegać pośród przyjmowanych na dany Wydział sprawiedliwego stosunku liczebnego, właściwego mniejszościom narodowym w Państwie“.

Ważna również była proponowana zmiana par. 92, która wykreślała słowa: „sumy te rozdziela Minisisterstwo W. R. i O. P.“ oraz zamiast słów: „ustanawia Ministerstwo W. R. i O. P.“ wprowadzała — „ustanawia Senat“.

Jeszcze w 1926 r., po „wypadkach majowych“, Rektorat Uniwersytetu Jagiellońskiego, a zapewne i Rektoraty innych uczelni, poruszyły po raz, o ile pamiętam, ostatni, sprawę nowelizacji Ustawy z 1920 r., gdyż jeszcze 17 listopada 1926 r. pismem za l. 7936/26 wezwał Rektorat U. J. Wydziały i profesorów do przedstawienia uzupełniających wniosków i opinij, na co Dziekanat Wydziału Rolniczego pismem z 22.XI.1926 l. 1105/26 przypomniał Rektoratowi, że wyczerpująca opinja w sprawie nowelizacji Ustawy o Szkołach Akademickich, przedyskutowana i uchwalona na posiedzeniu Rady Wydziałowej, została wysłana jeszcze 20 maja 1925 r. l. 661/25 na ręce prof. Dr. Stanisława Estreichera, jako przewodniczącego odpowiedniej Komisji Senackiej.

Ale to było już zapóźno. Wypadki szły szybciej i odpowiednia pora do nowelizacji w r. 1925 została stracona, bo stanowisko biurokracji zostało już wówczas znacznie wzmocnione.

Nie przestawano jednak ze strony Uniwersytetów dalej bronić autonomji swojej, gdyż właśnie oszczędnościowe restrykcje budżetowe najczęściej stosowano, zgóry narzucając, często w sposób nagły, redukcje etatów, zwłaszcza sił asystenckich, co dezorganizowało normalną pracę naukową i pedagogiczną. Nigdy nie było się pewnym, czy nagle jakiś etat lub dotacja nie zostanie odjęta lub zmniejszona i musiano często prowadzić żmudne i uciążliwe starania o przywrócenie etatów lub skreślonych dotacyj. Pamiętam, jak trzeba było przedtem w r. 1924/25 wymienić z Departamentem IV-tym 17, czy 19 pism w sprawie niezatwierdzonych przez Departament wykładów zleconych aż do maja 1925 roku, pomimo że chodziło tylko o odniesienie się do Skarbu o uruchomienie przyznanych dodatkowych kredytów na wykłady zlecone, które były i są na Wydziale Rolniczym obowiązkowemi egzaminacyjnemi wykładami. Zaledwie więc w maju, zamiast uprzednio w październiku, te wykłady, zupełnie faktycznie bezsporne, podległy zatwierdzeniu, a stąd i wypłacone. To niesłychanie musiało zrażać do administracji biurokratycznej, która zamiast załatwić takie sprawy jaknajszybciej, przewlekała je dokuczliwie przez szereg miesięcy, na co również się uskarża co do wszystkich uczelni wyższych Konferencja Rektorów w owem piśmie z lutego 1925 r.

(D. c. n.) STEFAN SURZYCKI

SWOJSKI HUMANIZM

ZARATUSTRA Nietzsche'go powiedział: „Jeszcze jedno stulecie czytelników, a sam duch zaśmiardnie!". W Polsce obecnie można to powiedzenie najłatwiej nietylko zrozumieć, ale i nosem wyczuć — fizycznie. Albożnaprożno od tylu lat taka gromada żydów „robi" w literaturze polskiej? Żydzi — ten naród, który nie ma analfabetów, od tysięcy lat czyta i z dumą sam siebie „narodem książkowym" nazywa — żydzi już za egipskich czasów mocno cuchnęli, poczem po całej Europie smród swój roznieśli, gdzie zewsząd ich, lecz niedokładnie, przepędzano, a teraz wreszcie biedną Polskę czteromiljonowem mnóstwem obsiedli i po wojnie światowej na wielką skalę, ryczałtem i gwałtem literaturę w języku niby polskim pisaną na swój sposób nawożą i użyźniają.

Przed rokiem (mniej więcej) jeden z oddanych im ludzi, p. Hulka-Laskowski napisał w ich tygodniku — „Wiadomościach Literackich" apologję osławionego „Skamandra" i całej literackiej Bandy kryptożydów. W apologji tej, jak to się apologetom zdarza, wymknęło się panu Hulce określenie, które miało być szczytem chwalby, a stało się bezwiednym, ciętym na całą Bandę ciosem dowcipu. Powiedziano tam tak: „Gdy patetyka liryczna doszła do absurdu, musiał odezwać się zdrowy instynkt życia. „Rypciu, pipciu, pójdź Ksantypciu!". Urwały się raptem roztrząsania na temat jedynozbawczości romantyzmu czy pozytywizmu, „czyste piękno" i hieratyckie formy pokurczyły się i pokrzywiły. Powiało ożywczym, swojskim humanizmem". Dla pełnego zrozumienia słów przytoczonych zaznaczyć trzeba, że owo „rypciu, pipciu" jest urywkiem zwrotki z poematu p. Tuwima p. t. „Sokrates tańczący". Opodal jeszcze p. Hulka dodaje, że „Tuwim był wyzwoleniem".

Gdyby Polacy mieli choć cząstkę tego poczucia komizmu, który cechuje Francuzów, to ów „swojski humanizm" stałby się sławny, a w myślowem zestawieniu z powojenną w Polsce literaturą krypto-żydowską, za każdym razem śmiech musiałby wywoływać, śmiech zdrowy i zabójczy. Ale, niestety, przy całej swojej lekkomyślności Polacy współcześni są tak ciężkomyślni, że łatwiej tu obecnie nawet o... złotówkę, niż o śmiech z doskonałego dowcipu. „Swojski humanizm" powinien był stać się monetą obiegową, skrótem nazwy na całą ową Bandę żydowską razem z jej „poezją" i „kulturą". Tymczasem zatonął w nędzy materjalnej i bierności duchowej tej sfery polskiej, której (wśród innych) obowiązkiem jest nadawanie odpowiednich wartości i stemplowanie wszystkiego, co nawiewa, odwiewa i rozwiewa życie bieżące. P. Hulka podzielił los wielu przygodnych wynalazców: został zapomniany — on i wynalazek jego...

Jak tedy widzimy, żydom powietrze ich ducha nie szkodzi, owszem — bardzo się podoba. Oddychają niem z rozkoszą, chwalą je sobie, nazywają je „ożywczem". Zaś dla tem większej na gojów przynęty wszystkie swoje poczynania — zamiast żydowskiemi — opatrują nazwami kradzionemi z dostojnych epok kultury greckiej lub europejskiej. Tak więc swój Jordan nalewkowski nazwali „Skamandrem", a całą w Polsce powojenną literaturę krypto-żydowską przeobrzezali na „humanizm". I obnoszą się z temi brudami po rynkach świata, krzykliwie reklamując to wszystko, jako swojskie — polskie Odrodzenie.

Że to są brudy, gorzej, niż brudy, o tem pisałem już nieraz. Z odrazą powracam od czasu do czasu do tego tematu z obowiązku przypominania Polakom, jaka to — pośród nas i nazewnątrz, wobec świata — jaka to ohyda obca i poczwarna podaje siebie za twórczość ducha polskiego. Jak w międzynarodowym handlu żywym towarem i w różnych szwindlach światowych, tak i w tej porko- i koprografji żydzi podają siebie za Polaków, i tym oto prostym sposobem urabiają dla Polski opinję ostatniej z ostatnich ścierki ulicznej. Jakkolwiek wstrętna jest cała ta ich robota, w najgorszym gatunku prowokatorska i nie ludzka już, ale pawjano-świńska, to jednak nie ich oskarżać należy, lecz ogół (z wyjątkami) literatów polskich. Oni — żydzi — pracują wprawdzie w sposób łajdacki, ale pracują dla swojego żydostwa. Mają cel wyższy ponad siebie samych, a celem tym jest imperjalizm ich własnego narodu. Ale jak nazwać milczenie tych Polaków, których obowiązkiem jest demaskowanie wrogiej i niebezpiecznej prowokacji żydowskiej?

Ilekroć do tego niepachnącego tematu powracam, to tylko i wyłącznie dla wstrząśnięcia sumień polskich. Lecz — każdy to łatwo pojmie — budzenie sumień polskich w tej sprawie może być dokonywane tylko przez prawdziwą charakterystykę roboty żydowskiej. Obnażanie i ukazywanie zła plugawego nie ma tu na celu poprawy naszych wrogów, albo ich gnębienia, — cel to pusty i nieosiągalny. Żydzi są dumni ze swej roboty i z siebie samych i takimi zostaną. Ja zaś najmniej powołany się czuję do roli misjonarza wśród trędowatych wrogów mojego narodu. Ale że trąd ten na Polsce czteromiljonową plazmą siedzi i ma zamiar cały nasz naród zarazić, muszę o nim właśnie mówić, jego ohydę ukazywać, przed jego niebezpieczeństwem ostrzegać, przeciw niemu polskich lekarzów i sanitarjuszów powoływać. Że to jest potrzebne, o tem łatwo przekona się każdy, kto zwróci uwagę na zachowanie się surowego jeszcze współczesnego społeczeństwa polskiego wobec literatury krypto-żydowskiej. Ogół nasz z całą naiwnością przyjmuje tę literaturę za polską, a wiadomość o żydowskości różnych tuwimów ze szczerem wita zdumieniem. Mylne przekonanie o polskości tej literatury usposabia ogół przychylnie do niej i ufnie. Jakże nie ufać własnym (jakoby) i tak reklamowanym wielkościom literackim?.. Obowiązkiem tedy literatów polskich jest uświadamianie ogółu w tej sprawie. Do tego obowiązku wzywać ich trzeba przez ukazywanie ohydy i potworności, plugastwa i zła, cechujących literaturę krypto-żydowską.

Swojski humanizm rozwielmożnionej w Polsce Bandy żydowskich literatów miał czas przedstawić siebie w całej okazałości, a teraz doszedł już do takiego cynizmu, że — nie nago i goło, ale stokroć wstrętniej, bo z obnażaniem spod ubrań swoich części tak zwanych „wstydliwych" i „nieprzyzwoitych" *coram populo* się prezentuje. Ani mnie, ani nikogo z Polaków mogłaby cała ta parada żydowska nic a nic nie obchodzić, gdyby aktorzy jej podawali siebie za to, czem są, to jest — za żydów, gdyby pisali przytem w szwargocie własnym, a nie

w języku polskim. Ale właśnie perfidja Bandy na tem polega, że wszystkie jej błazny reklamują się swoją polskością udaną, przemawiają w imieniu narodu polskiego, piszą stale „my — Polacy", my — „naród polski", „nasza ojczyzna — Polska". Tu leży w sprawie tej cały wstręt wstrętów i ohyda ohyd. Rzeczą, zatem, z naszej strony najpilniejszą i najważniejszą musi być stałe, niezmordowane, pilne demaskowanie żydów, że są żydami, a ich literatury, sztuki i nauki, że jest żydowska, a nie polska. Czy nie stać nas na tak nawet skromny objaw godności narodowej i ludzkiej?

Swojski humanizm żydowski, w najogólniejszej jego charakterystyce, odznacza się propagandą bolszewizmu, porkografją, koprolalją, oraz fałszowaniem, zabrudzaniem i poniżaniem wszystkiego, co nieżydowskie, a czyste i górne. Każdy zeszyt „Wiadomości Literackich" pełen jest tej roboty, roboty wszechstronnej, ruchliwej, szczegółowej, pedantycznej. W ostatnich, naprzykład, czasach wszystkie żydy robiące w literaturze ogarnął apostolski zapał do przerywania ciąży. Czegoż oni na ten temat nie wypisują! W zapale swoim zatracili miarę do tego stopnia, że ośmieszają się nawet w tytułach swoich artykułów, jak ten oto, ogłoszony w „Wiadomościach Literackich", tytuł z oślej, zaiste, łąki: „Czechosłowacja a przerywanie ciąży". Można dobrze ubawić się widokiem tej gromady żydziaków i żydóweczek, tańczących ze sprośnemi gestami dokoła tak ponętnego tematu. Dla żydów to raj! Nietylko propagują dla gojów sprawę niebezpieczną, ale i sami przytem mają sposobność do ciągłego, publicznego grzebania się w genitaljach i koprolaljach, co jest, jak wiadomo, od tysięcy lat znaną, narodową cechą żydowską. Każdy, zresztą, temat obraca się w rękach żyda w sprawę genitaljów i koprografji. Przytoczę tu jeden przykład typowy.

Niedawno w jednym z zeszytów „Wiadomości Literackich" ukazała się ogromna rozmiarami rozprawa filozoficzna p. Boy'a Żeleńskiego p. t. „Śmiech". Arystoteles, Plato, Ciceron, Hobbes, Kartezjusz, Kant, Hegel, Schopenhauer, aż do Bergsona i... i... pani Zuli Pogorzelskiej. Ta pani Zula ma, doprawdy, szczęście do architektów i literatów stylu nowoczesnego! I tu pan Boy, obaliwszy wymienionych i wielu innych filozofów (oprócz pani Zuli), stawia własną teorję śmiechu, śmieszną, płytką i naiwną—o to już mniejsza! można to fejletoniście wybaczyć—ale grunt w tem, że dała ona autorowi sposobność do wypisania mnóstwa nieprzyzwoitych słów i brzydkich anegdot. Tu był jedyny cel całej „naukowej" rozprawy.

Swojski humanizm w ciągu ostatnich lat trzynastu w literaturze krypto-żydowskiej takie już nagromadził góry, pola i złoża szalbierstw i paskudztw wszelkiego rodzaju, że najkrótszy przegląd tych skarbów z objaśnieniami zająłby duży tom bibljograficzny. Literatura ta będzie dla przyszłości stanowiła dowód naoczny, do jakiego stopnia zaśmiardł duch „narodu książkowego". Ale, niestety, pośród setek nazwisk żydowskich, lub krypto-żydowskich znajdzie się tam także parę dziesiątków nazwisk polskich. Żydzi używają ich poczęści jako osłony przed społeczeństwem polskim, a po części dla wykonywania różnych robót obronnych w rodzaju tej, którą tu zaraz dla przykładu przytoczę. Ponieważ niektórych wielkich twórców poezji polskiej, jak Mickiewicza lub Wyspiańskiego dla żydostwa niewygodnych i niebezpiecznych, żydzi nie mogą sami i wręcz zwalczać i unieszkodliwiać, bo to zanadtoby ich demaskowało, więc umyślili odpowiednio ich fałszować, ale pracami podsuniętych przez się Polaków. Tak więc np. do fałszowania i zohydzania „Pana Tadeusza" wynajęli słynnego w swoim czasie Jana Nepomucena Millera. Do Wyspiańskiego przystawili i t.d. p. Tadeusza Sinkę.

A oto przykład:

W drugim akcie „Wyzwolenia" w rozmowie z maską dwunastą Konrad mówi: „A tak. My nie powinniśmy pozwolić naszych kobiet obcym, tym obcym, którzy siedzą wśród nas". A opodal: Z małżeństw mieszanych, z ich potomstwa „wytwarza się tłum ludzi obojętnych dla naszego narodowego społeczeństwa, którzy je zaprzedają". Z tych i podobnych słów Konrada jasno wynika, że Wyspiański gromi w tem miejscu małżeństwa Polaków z żydami — tymi obcymi, „którzy siedzą wśród nas". Nie może się to podobać naszym zaborcom palestyńskim, więc znaleźli Polaka, który w imieniu nauki takie słowom Wyspiańskiego przypisuje znaczenie: (pan Sinko mówi).

„Epilog tej dyskusji o małżeństwach mieszanych, przybrał tak niespodziewany zwrot, że całą tę dyskusję musimy uznać za alegoryczną. Konrad o czem innem myśli, a o czem innem mówi ze względu na cenzurę. Mówi więc o marnowaniu krwi przez wydawanie dziewcząt za cudzoziemców, a myśli o oddawaniu im synów do wojska".

Słowa te p. Tadeusza Sinki znajdują się w objaśnieniach do tomu IV dzieł St. Wyspiańskiego, wydanych nakładem Instytutu wydawniczego Bibljoteka Polska. Kto ciekaw, niech zobaczy, bo, doprawdy, nie poczytam sobie za ujmę, jeżeli czytelnik zechce sprawdzić, czy ja tu czego nie przekręciłem, lub nie zmyśliłem.

Ażeby osłonić żydów przed ostrzem wielkiego dramaturga polskiego, uczony polski nie cofa się przed tak ordynarnym pomysłem, nie cofa się przed ośmieszeniem samego siebie wobec całego narodu polskiego na dziś i na przyszłość! Nic mu to wszystko! aby tylko posiać obronne dla żydów przekonanie, ży Wyspiański mówił o dziewczętach, a myślał o synach, mówił o małżeństwach, a myślał o armji austrjackiej.

Osłonięci podobnemi parawanami autorytetów polskich, żydzi mogą spokojnie, ba! nawet z robionym zachwytać odzywać się o „Wyzwoleniu", ażeby z chóru polskiego w rocznicę zgonu poety się nie wyróżniać. Oto, naprzykład, co w „Wiadomościach literackich" mówi pewna, znana z ciemnej sprawy politycznej, ciemna figura żydowska: „My (-(powiada)-) nigdy nie przestaniemy czytać drugiego aktu „Wyzwolenia", jak nie przestajemy czytać katechizmu życia narodu i państwa". Takiego śmiertelnego załgiwania się nie wytrzymałby żaden duch ludzki. Nie dziw tedy, że ten swojski humanizm kryptożydów tak ohydnie cuchnie. Tysiącolecia paskudztw duchowych, gromadzonych w żydostwie, rozkładają się teraz i Polskę zapowietrzają. Bez masek przeciwgazowych niepodobna zbliżyć się do tego bagna trupiego. A wkońcu trzeba je będzie ogniem zniszczyć, bo żyd sam z tego rozkładu cuchnącego nie zginie. Żyd jest samym tym rozkładem, w rozkładzie czuje się najlepiej, zgnilizną żyje, zgnilizną pleni się i tyje. Wszelka zatem mowa o nim nie do niego jest zwrócona, ale do tych, którym ta zgniłość zagraża.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Historja niczego nie uczy, ale wiele wyjaśnia. — Jak to było ongi z walką o wolność szkoły, a jak jest teraz. — Bojkot i „irredenta legjonowa". — Daremne przestrogi. — Śmiech szatana.

DZIWNA pozornie zbieżność. Zbiegły się i leżą przedemną dwie duże książki: 1) „Nasza walka o szkołę polską" (1901 — 1917) t. I. 2) „W obronie wolności szkół akademickich" (Głosy 30 profesorów). Rok 1932 — 1933. Słychać, że w Krakowie mają być wydane jeszcze dwa tomy „W obronie wolności..."

Od kogóż to bronią się teraz szkoły polskie? A no — od Polaków... Więc jakże to: walczyliśmy o szkoły, a teraz nie wiemy, co z niemi robić? Cóż to się stało? Odpowiedzi na to pytanie doszukać się można tylko metodą historyczną. Te dwie księgi mają ze sobą dziwny związek. Bo właściwie dzisiaj profesorowie (a z nimi cała opinja narodowa) bronią wolności szkół od tych ludzi, którzy o wolność szkół walczyli w czasie niewoli — od wyzwoleńców.

Po dwudziestu latach łatwo związki faktów zrozumieć. Zbierające się na horyzoncie chmury dawały wiele do myślenia politykom polskim już w r. 1908, a w r. 1910 zmuszały do decyzji, co Polska ma robić z sobą na wypadek grożącej wojny. Był to moment zwrotny w naszych dziejach porozbiorowych, wymagający nadzwyczajnego wysiłku myśli i odwagi. Przed polityką polską stanął dylemat: z Rosją czy przeciw Rosji? Czy pójść drogą utartą przez wiek XIX pobudliwości uczuciowej i pozorów politycznych, czy też zrozumieć realnie interes dziejowy Polski? Oczywiście, nie było to zagadnienie na gruncie warszawskim i galicyjskim łatwe do popularnego omawiania. Był to moment dramatyczny, grożący rozterką z opinją, nałożną do łatwych haseł, przedewszystkiem zaś dlatego, że warunki polityczne na dyskusję publiczną nie pozwalały. Z momentu tej rozterki w Polsce obozu narodowego skorzystała masonerja i z tem większą energją poprowadziła walkę demonstracyjną z Rosją, koncentrując ją przy pomocy popularnych haseł w bojkocie szkół rosyjskich. Ludzie, kierujący polityką polską, rozumieli już wówczas, że czasy idą do rozstrzygnięć ogólniejszych, w których sprawa szkolna jest tylko cząstką i że do tego celu niepodległości Polski, dla którego otwierały się nowe perspektywy, trzeba podążyć całkiem inną drogą. Z nieświadomości młodzieży skorzystali przeciwnicy w sposób bardzo uproszczony, podniecając do tem gorętszego bojkotu, który wkrótce zamienił się w walkę domową. Do dziś dnia oszołomieni popularnem hasłem, najuczciwsi skądinąd ludzie, nie zdając sobie sprawy z pomyłki, dumni są z haniebnego (w świetle historycznem) czynu, jakiego się dopuścili, urządzając napad uliczny na Dmowskiego dla zamanifestowania swego patrjotyzmu. Oto w wydanej teraz księdze „Nasza walka o wolność szkoły" chełpią się tym czynem. Widocznie nie wolno im zrozumieć prawdy, bo przecież dwadzieścia lat jest okresem wystarczającym na tak proste studjum historyczne.

Przeczytajmy w pomienionej „Naszej walce" (od str. 174), jak walczący orjentowali się w sytuacji:

„Gdyby pisać szczegółowo o wszystkich naszych młodocianych bojach, praca nasza rozrosłaby się w dwójnasób. Każde niemal publiczne wystąpienie łamistrajków (-(młodzieży polskiej ze szkół państwowych)-) spotykało się z energiczną represją. Gdy śpiewaczka Wohlówna pozwoliła sobie zaśpiewać na jakiejś łamistrajkowskiej wieczorynce"...

Tu następuje opowiadanie, jak ją wygwizdano, ale na śledztwie zatajono przed policją powód, powiedziano, że żydzi wygwizdali Wohlównę za to, że przeszła na katolicyzm. Później opis balu zerwanego, potem manifestacji na pogrzebie Prusa tak niedawno przez młodzież napastowanego...

„Już nie demonstracją bojkotową, ale prześliczną manifestacją przywiązania do szkoły polskiej był w tymże roku (-(1912)-) pogrzeb ś. p. M e y e t h a. Nieprzebrane wprost tłumy młodzieży ze szkół polskich w k a r n y m ordynku szły na cmentarz s t a r o z a k o n n y"...

Redaktorzy księgi obrażają uczucia religijne żydów, dodając do nazwiska zmarłego: „świętej pamięci". Następuje potem manifestacja na pogrzebie ś. p. Krzemińskiego, który był wybitną w masonerji osobistością. A dalej:

„Ale nie w samych wystąpieniach zewnętrznych objawił się bojkot. Trwał on dosłownie od rana do nocy w życiu codziennem. Wystarczyło, aby na wieczorku prywatnym pojawił się student uniwersytetu lub politechniki (-(Polak)-), a zaraz wychowańcy szkół polskich stawiali gospodarzowi alternatywę: „my lub on". Gdy wypadkiem zabłąkał się do szkoły polskiej łamistrajk, bito go lub wypędzano. Akademik polski w restauracji nie ścierpiał łamistrajka (-(Polaka)-) przy sąsiedzkim stoliku. Wiele serdecznych znajomości zrywało się nagle i ostatecznie, jeśli przechodzący łamistrajk pozwolił sobie ukłonić się towarzyszce, a ta przyznała się, że renegat bywa w domu jej rodziców.

„Nie piszemy wspomnień. Mało więc uwagi poświęcamy t r a g e d j o m, jakie się rozgrywały wówczas w licznych domach i licznych sercach. Często brat bojkotował brata"...

Czy mam przytaczać więcej tych okropności? Oto — co potrafiono zrobić z hasła walki o szkołę. Użyto go do rozdarcia społeczeństwa na dwa wrogie obozy właśnie w chwili, gdy trzeba było je konsolidować do wielkiej, decydującej rozprawy o byt narodu w nadchodzącej wojnie z Niemcami, sprawcami rozbiorów i ucisku. Nadużyto haseł w celu pomylenia orjentacji polskiej. Czytajmy dalej:

„Tak było stale i ciągle aż do ostatnich dni ucieczki Moskali z Warszawy w 1915 r. C h o c i a ż umysły młodzieży zwracały się już ku sprawie ważniejszej: — ku legjonom...

„Aż wreszcie b o j k o t s k o ń c z y ł s i ę z w y c i ę s k o. Zczezła szkoła rosyjska razem z Moskalami w pamiętnych dniach sierpniowych 1915 r. Bojkot trwał do końca, zniknął dopiero wraz ze szkołą rosyjską i rosyjskim zaborcą. W l a ł s i ę w ł o ż y s k o i r r e d e n t y l e g j o n o w e j".

Z opowiadania tego godne zapamiętania są dwa fakty: 1) fakt naiwności, dziwnie zachowanej przez lat 20, a polegającej na skojarzeniu bojkotu z okupacją niemiecką i na zabarwieniu tego zdarzenia historycznego samopoczuciem „zwycięstwa", 2) fakt przyznania, że bojkot „wlał się w w łożysko irredendy legjonowej", Tak istotnie było. Austrja zręcznie wykorzystała okoliczność, że w Galicji skoncentrowała się koło uniwersytetów w znacznej ilości młodzież z Królestwa, podtrzymała ją w nastrojach, zorganizowała i zużytkowała w czasie wojny. Bez bojkotu nie byłoby organizacyj strzeleckich i legjonów w Galicji. Legjoniści zachowali na całe życie postawę bojkotową wobec tych rodaków, którzy do nich nie należą; jak byli, tak i są dotąd zdezorjentowani w stosunku swoim do objektywnego, historycznego interesu narodu. Postawa „bojkotu" pozostała i przezwycięża solidarność; stan wojny domowej wszedł w krew. Ofiarą

padają teraz te same szkoły, o których wolność przed wojną walczono, nie rozumiejąc—jak widać—jaka treść żywa pod hasłem się mieściła.

Ci sami ludzie, dziś w sile wieku, mają możność — tak okoliczności się złożyły, decydować o losach szkoły w Polsce. Przeżyliśmy w roku ubiegłym ciężką walkę o reformę szkół powszechnych i średnich, a teraz jesteśmy w ogniu walki o ustrój szkół akademickich.

Już nieraz zwracano na to uwagę i dziwiono się, jak osobliwe „kompleksy“ psychiczne wytwarzają się w duszach z powierzchowną kulturą, działających przez naśladownictwo po sportowemu, a nie z głębokiej wiary. Znamy ludzi, którzy w młodości wzorowali się na bohaterach rewolucji 1830 r., ale gdy naród „ni z tego ni z owego zyskał wolność od pierwszego”, woleli przybrać pozę ks. Konstantego. Tak im się splątało w głowie.

Dziwi się temu zjawisku prof. Tokarz w księdze profesorów „W obronie wolności szkół akademickich” (str. 208):

„Nasuwa się“ — mówi on — „gorzka uwaga, że ludzie, którzy wyrośli na ruchu niepodległościowym młodzieży wszechnic polskich w b. Galicji, po dojściu do władzy pragną stosować i do młodzieży uniwersyteckiej metody, których nigdy do nich samych nie zastosowały senaty uniwersytetów Jagiellońskiego i Lwowskiego. A przecież ruch wojskowy w dawnej Galicji był prawdziwym buntem młodych... Nie przetrwały widocznie długo wspomnienia naogół tej pełnej zapału, ale i ducha opozycyjnego — młodzieży uniwersyteckiej Krakowa i Lwowa, która ginęła w szeregach I Brygady“.

Światowej sławy prof. Tadeusz Zieliński w uwagach swoich w tejże księdze czerpie pełną garścią z doświadczeń rosyjskich i przestrzega, pragnąc, byśmy byli „mądrzy po szkodzie”... cudzej. Był profesorem w uniwersytecie petersburskim od r. 1886. Wspomnienia jego o tych czasach walki o autonomję uniwersytetów żywo przypomniały mi mój własny los, gdy w r. 1887 relegowano mnie z uniwersytetu petersburskiego jako nieprawomyślnie wyglądającego studenta. Było to po nieudanym zamachu na Aleksandra III. Car ten zniósł w roku 1884 autonomję uniwersytetów. Odtąd zaczęła się w Rosji iście sportowa „walka z caratem”, której przewodziła młodzież, a która przeniosła się i do Polski w r. 1905. Z powodu owego zamachu na cara aresztowano pod zarzutem uczestnictwa kilku Polaków, między nimi braci Piłsudskich. Nie wyobrażałem sobie, aby ludzie z tych czasów mogli kiedykolwiek zapomnieć nie tylko swoich własnych racyj, dla których walczyli, ale i doświadczeń Rosji, jako państwa policyjnego. Państwo przegrało tu walkę. Prof. Zieliński wyciąga stąd naukę dla ludzi, odpowiedzialnych dzisiaj za losy Polski.

Złowieszcze, a według słów ś. p. Balzera (w tejże księdze) „upiorne” wrażenie robią motywy ustawodawcze, skoro je najgłębszym głosem prawdy dośpiewuje w Sejmie taki Icek Grünbaum. Dlaczego wszystko, co występuje w Polsce na widownię, ma swój cień taki garbaty? Dlaczego ten cień przybiera postać szatana, który myli nam drogi i gdy my kłócimy się o nie, apelując do rozumu, słychać czyjś śmiech:

— Nie będą nigdy mądrzy ani po swojej, ani po cudzej szkodzie.

Tak, tu chodzi tylko o sumienie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

WIDOWNIĄ ORYGINALNEGO ZAJŚCIA stała się przed kilku dniami komisja budżetowa sejmu. Drzemiący na posiedzeniu poseł z BB, Wawrzynowski, który aż do tej chwili niczem nie zaznaczył swego zainteresowania, — nagle, zaczął walić pięścią w stół i krzyczeć, że poseł Winiarski (z Klubu Narodowego) nazwał prof. Wałka-Czerneckiego policjantem. Oburzony, nie mógł się uspokoić przez czas dłuższy.

Mniejsza o nieporozumienie, które ten wybuch wywołało. Przed komisją występował właśnie jako rzeczoznawca prof. Wałek-Czernecki z Warszawy. Było to po oświadczeniach przedstawicieli instytucyj naukowych i senatów szkół wyższych, którzy zgodnie projekt rządowy potępili. Z kolei głos zabrali, odosobnieni wśród kolegów, lecz w porę odszukani przez BB profesorowie, pochwalający projekt. Wśród nich najskrajniejsze stanowisko zajął właśnie prof. Wałek-Czernecki, który to tylko miał do zarzucenia projektowi, że za słabo jeszcze godzi w autonomję akademicką. Wychodził z założenia, że nauce grozi niebezpieczeństwo ze strony samych uniwersytetów, że przeto musi ona szukać obrony pod opiekuńczem skrzydłem rządów absolutnych. — Wpadając w ton wywodów mówcy, prof. Winiarski (jak donosi „Gazeta Warszawska“) odezwał się półgłosem: „A więc policja w obronie wolności nauki“, co dopiero zmusiło posła Wawrzynowskiego do przejścia z obojętności do hałaśliwego protestu.

SKONCENTROWAWSZY WZROK NA TYM DROBNYM EPIZODZIE, wcale nieźle, jak przez szkiełko lunety, dostrzec możemy tę otchłań bezmyślności, która umożliwia dziś niszczenie kultury ojczystej w imię haseł „państwowo-twórczych“. Pos. Wawrzynowski zachował piękną równowagę umysłu, póki przedstawiciele nauki tłumaczyli, jaką szkodę kulturze narodowej wyrządzi nowa ustawa. To go nie wzruszało. Pamiętał jednak z dawnych czasów, że obelżywie jest nazwać kogoś „policjantem“. Wiedzy tej z pewnością nie zaczerpnął w Polsce wolnej. Gdyby chodził w jednym szeregu z młodzieżą akademicką i brał udział w jej manifestacjach, nauczyłby się wołać „Cześć policji“. Tej szkoły nie przeszedł jednak. Zaciągnięty do pracy w obozie sanacyjnym, rzecz znamienna, po staremu został nieufnym w stosunku do policji.

Nie zastanowił się snadź nigdy, że nie tak łatwo orzec, kto bardziej godzien szacunku: czy prof. Wałek-Czernecki, tęskniący do *régime*'u absolutnego nad uniwersytetami, czy policjant, pełniący służbę w myśl instrukcyj. Nietylko nie biedził się nad temi subtelnościami, ale rozstrzygnął sumarycznie. Myśl o zniesieniu jagiellońskiej tradycji samorządu uniwersytetów nie wydała mu się zdrożna. Ale jak automat zaczął tupać, krzyczeć i walić pięścią w stół, gdy mu się posłyszało, że oto pada zelżywe — w jego mniemaniu — słowo: „policjant“.

Nieprzytomny — powiecie, lecz jakże to pouczające. Państwo, dzięki współpracy BB, przemienia się coraz bardziej na państwo policyjne. Wielkie, autonomiczne dotąd, dziedziny życia uzależnione zostają od administracji państwowej. Proces ten odbywa się poza świadomością ustawodawców z BB.

P. Jourdain nie wiedział, że mówił prozą, posłowie z BB nie wiedzą, że państwo przarabiają na państwo policyjne. Nie ogarniają wzrokiem całości robót, jakie wykonywają, zato na widok kawałka wołają: „to niesłychane". Zamiana profesorów na usuwalnych funkcjonarjuszów, zależnych od woli ministra, to nic, ale upodobnianie prof. Wałka-Czerneckiego do posłusznego policjanta — oto potworność. A przecież całkiem to po myśli forsowanego projektu. Przypadek, o którym mówimy, pokazał, jak głęboki jest letarg, jak ociężała bezmyślność, która „załatwia doraźnie" w sejmie głosami BB historyczną sprawę zniesienia autonomji uniwersytetów.

DŁUGIE PRZEMÓWIENIE MIN. JĘDRZEJEWICZA, wygłoszone na tejże komisji, i dotyczące nietylko kwestji autonomji wyższych uczelni, lecz całokształtu zagadnień oświatowych, uprzytomniło znowu, jak aktualna jest sprawa „niewspółczesności" przedstawicieli starszego pokolenia działaczy sanacyjnych. Ci nie potrafią się już niczego nauczyć. Cała ideologja ministra zrozumiała być może tylko jako przeżytek niewoli. Szereg ministerjalnych *exposées* na komisji budżetowej od tygodnia demonstruje nam serję tych przeżytków, jak kina demonstrują tygodnik Gaumonta.

Jako ideolog „państwa", minister Jędrzejewicz ciągle jeszcze nie umie rozróżnić między suwerennością, a machiną państwową. Suwerenność, czyli niepodległość można z pewnością uważać za najwyższe dobro polityczne; ale co innego zupełnie machina państwowa, niestety najczęściej, bo najbardziej naocznie symbolizująca „interes państwowy". Kiedy minister mówi „naczelnem dobrem społeczeństwa jest Państwo", wysuwa przecież hasło wątpliwej wartości. Można mu potaknąć, można z równą słusznością zaprzeczyć. Wszystko to kwestja granic. Bardzo dobre jest ściąganie podatków przez państwo, bardzo złe jest krępowanie przez państwo wolności nauki. Znakomity jest policjant na skrzyżowaniu ulic; całkiem zaś nie na miejscu w domu prywatnym. Chodzi właśnie o zrozumienie, że są granice. Kto policjanta uważa za naczelne dobro nawet za progiem prywatnego domu, ten hołduje niezmiernie uproszczonym pojęciom o państwie. Jak długo jeszcze możliwa będzie oficjalna propaganda dogmatycznych, a tak prymitywnych haseł? Jak długo możliwe będzie nieodróżnienie między państwem i rządem? Pilna zaiste jest potrzeba zmiany pokoleń, ludzie „przedwojenni" z obozu „sanacji" nie są zdolni przyswoić sobie pojęć normalnych o państwie.— Wraz z nimi stracą walor i „sanacyjne" metody walki. Co znaczyło odezwanie się ministra: „wydaje mi się, że nawet w najostrzejszych bojach musi obowiązywać pewna rycerskość i dżentelmenerja. Ja osobiście w walce mojej z przeciwnikami tych momentów przestrzegam bardzo skrupulatnie". Czy takim dżentelmeńskim „momentem" było nazwanie „gromadką bojaźliwych" tych profesorów wyższych uczelni, którzy opowiedzieli się przeciw ograniczeniu autonomji wyższych uczelni? Czy minister nie wiedział, że owa „gromadka", to prawie wszyscy profesorowie tych uczelni—rzesza około ośmiuset uczonych; i że przeciw niej zszeregował się tylko tłum coś trzydziestu czy pięćdziesięciu? — Czy znowuż sportowym trjumfem jest ta niespodzianka: „Natomiast stwierdzić muszę z radością i dumą, że z większością ciał ustawodawczych współpraca moja rozwija się i zarysowuje dobrze" — ? Czy duma to większa od tej, która zdejmuje na myśl, jak sportowo i dżentelmeńsko tę „większość ciał ustawodawczych" zgromadzono?

JESZCZE W SPRAWIE „TAJNEGO DETEKTYWA". Autor artykułu o „Tajnym Detektywie" (p. „Myśl Nar." r. 1932) miał znowuż, po kilku miesiącach, sposobność przeglądnięcia pliki numerów tego pisemka, którą posługaczka przyniosła do podpalania w piecu. Nic się tam nie zmieniło: te same krwawo-trupławe artykuły i fotografje, ten sam korespondencyjny kurs, rzekomo detektywizmu, a w gruncie rzeczy zbrodni, mają tylko więcej pikanterji, dla osłody.

Jest coś naprawdę zastraszającego, i poniekąd tragicznego w tem! Od roku przeszło trwa kampanja prasowa wszystkich kierunków politycznych, cały szereg stowarzyszeń potępił tę trucicielską moralnie płachtę tego pana Marjana Dąbrowskiego, na sali sądowej stwierdzono niejednokrotnie, przewidziane przez prasę, fatalne skutki lektury „Tajnego Detektywa" — a jednak to wszystko okazało się grochem o ścianę!... Beczelność spekulacji na najniższych instynktach ludzkich okazała się mocniejszą, niż wszystkie przestrogi i oburzenie sumiennych. O, jakże my słabi jesteśmy, my, co nie jesteśmy „w produkcji", my inteligenci, my pisarze, my profesorowie, my duchowni!...

Prawdziwa reakcja powinna wyjść z samego gniazda odoru, z Krakowa, bo tu tylko możliwym byłby bojkot towarzyski tego pana i jego czeladzi. Ale co robić! Z Krakowa reakcja należyta nie wyjdzie, bo jak już pisaliśmy, Syndykat dziennikarzy jest w rękach załogi z Pałacu Prasy. Możeby jednak ruch jakiś wyszedł ze stowarzyszeń katolickich „polskiego Rzymu", miasta 40 kościołów? Możeby tak Akcja Katolicka?... Nadzieja tego wystąpienia jest jednak raczej wątła, skoro, jak się właśnie dowiadujemy, prezes Akcji Kat. w Krakowie, p. August Turowicz, em. radca sądowy, jest funkcjonarjuszem Pałacu Prasy, podobno jego syndykiem. Cóż na to Akcje Katolickie, hierarchicznie z władzami kościelnemi związane!

Oczekujemy wyjaśnień. Ma prawo do nich, właśnie Katolicka opinja publiczna!

NAUKA I LITERATURA

POWIEŚĆ O ZREDUKOWANEM ŻYCIU

MŁODY powieściopisarz Michał Choromański wydał (u Gebethnera i Wolffa) powieść p. t. „Zazdrość i medycyna". Wywołał nią pewien szmer w świecie literackim z powodu nowatorskich pomysłów w kompozycji i w metodzie traktowania zjawisk życia.

Mamy tu do czynienia z naturalizmem, zastosowanym w przedstawianiu człowieka do eksperymentu psychoanalizy na sposób Freuda. Do naturalizmu dodany dla celów artystycznych ekspresjonizm, kładący silne akcenty na pewne motywy i epizody, najczęściej za pomocą powtarzania. Filozoficznie rzecz utrzymana w kanonach neo-rosyjskiego materjalizmu djalektycznego.

W kompozycji oryginalność powieści polega na tem, że bierze ona za punkt wyjścia pewne zdarzenie, a powieść ma zadanie pokazać, jak do tego zdarzenia doszło. Rozchodzi się

tedy opowieść kręgami, jak od rzuconego w wodę kamienia, przyczem te kręgi załamują się od niepokoju, jaki panuje między opowiadającymi opowieść ludźmi, i powielekroć do czytelnika wracają. Wskutek tego mamy jedną rzecz pokazywaną po kilka razy w sposób zależny od osoby, która ją przeżywała. Figur przeżywających kilka, zdarzeń kilkanaście zaledwie, ale gdy się to uwielokrotni pod różnym kątem, wypadnie gruba książka. Jak w przygadywce o tej czapli, co chodziła po desce. Jest w tem coś z karuzeli, ile że każdy człowiek ma tutaj swego konika w postaci „kompleksu“ Freudowskiego. Bohaterka oczywiście na łóżku, gdzie jedno miejsce na zmianę towarzyską.

Na pierwszej stronie opisany przypadek, że w całem mieście zgasła na pół godziny elektryczność, jesienią o godzinie 7 i poł. wieczorem. Na ostatniej stronie dopowiedziano, co się stało w owe półgodziny. Cała zaś reszta książki poświęcona owej opowieści, która obejmuje jakieś sześć dni przed tem zdarzeniem. Dlaczego sześć dni? Jest to przeciąg czasu trwania wiatru halnego. Ten wiatr jest tłem, na którem malowane są wypadki, niemal głównym bohaterem powieści. Intencją autora było, zdaje się, wykazanie zależności ludzi od przyrody, ludzi nerwowych. Wiatr działa na nich niesamowicie. Skłonni są wtedy robić tragedje z rzeczy zwykłych, tracą swoją automatyczność, robią rzeczy niedorzeczne. W czasie takiego wiatru suchotnicy są bardzo nieszczęśliwi, słabi na serce mają ataki, a nawet zdrowi, jak lekarz Tamten, wypadają nerwowo z orbity. Nic przecie szczególnego nie zaszło. Kobieta zdradza! Jak zdradzała, tak zdradzać będzie. Ot, zwykły „odcinek“ życia, a tymczasem wynika wskutek wiatru cały dramat. Wiatr się skończył i wszystko z powrotem weszło w tryb normalny.

Człowiek jest zwierzęciem z pewnemi dodatkami, które nie są zasadnicze, a mącą jasny pogląd na tę prawdę, że jest zwierzęciem. Materjalizm djalektyczny uznał jeden „dodatek“ do zwierzęcia, mianowicie wytworzony w kulturze instynkt pracy przetwarzającej. Całe niemal uduchowienie człowieka płynie z dwu instynktow: rozrodczego, dającego mu zadowolenie seksualne, t. zw. miłość, i społecznego instynktu pracy— z ideałem automatyzmu. Człowiek jest zwierzęciem, dążącem do specjalizacji. Dążeniem jego społecznem jest być „specem“.

Mamy tedy troje u Choromuńskiego bohaterów: postać zazdrosnego męża, postać „speca“ lekarza i kobiety między nimi — piękna Rebeka, uosobienie chuci. Człowiek dzięki cywilizacji rozszerzył swoją biosferę na wielkie obszary i wyżyny potrzeb religijnych, umysłowych, moralnych i politycznych i to sobie bardzo cenił. Według nowego kursu materjalistycznego zredukowano go do sfery zmysłów i instynktów. O uczuciach w powieści Choromański wspomina czasem jako o postaci wzruszenia, o moralności i dalszych sferach już niema mowy. Uproszczony w ten sposób człowiek wygląda, jak kościotrup, czy preparat anatomiczny. Punktem centralnym życia według tej wyobraźni poetyckiej jest brzuch bohaterki. Ze zmysłów najbardziej pomocnym człowiekowi staje się węch, jak u psa.

W Polsce i na zachodzie Europy po długiem panowaniu materjalizmu dał się odczuć nawrót do idealizmu, rozszerzający ludzką biosferę; atoli ze wschodu powiał wiatr inny. Słowianin, znużony źle realizowanemi tęsknotami i syzyfową pracą cywilizacyjną, powiedział sobie: *„naplewat“* i hasło *excelsior* zastąpił abnegacyjnem: *„dołoj!“* I teraz w Polsce te dwa prądy się spotykają. W literaturze prąd wschodni wzięły w opiekę „Wiadomości Literackie“. Choromański tam się zainstalował. W powieści jego — rzecz charakterystyczna — bohaterami są żydzi, o czem można wnosić z opisu ich zewnętrznego i psychiki, zresztą z imienia bohaterki (Rebeka). Autor oczywiście nie określa narodowości, nie rozróżnia. „Człowiek“ — wystarcza mu, rozróżnia tylko brunetów od blondynów. Parę nazwisk jest polskich, inne żydowskie, jeden krawiec, człowiek z ludu (Gold) ma niedwuznaczną markę etnograficzną.

To samo ze środowiskiem. Rzecz dzieje się w mieście, ale nikt nie rozpozna rysów tego miasta etnicznych. Autor mistyfikuje polskością (ulica Batorego), wiatr halny każe się domyślać Tatrów w pobliżu, jednak miasto robi wrażenie rosyjskiego. Typ domów, ulic i ludzi—prowincjonalnego miasta rosyjskiego, gdzieś na południu. Wysiłek zaś artystyczny autora, jako topografa, polega na tem, żeby się nikt nie domyślał, że miał w wyobraźni Zakopane. Równie dobrze mogło się to dziać na księżycu, co nie zmieniłoby charakteru rosyjskości powieści. Pierwiastek subjektywny we wszystkich równaniach, jakie zjawiska twórczości nastręczają, jest zawsze wielkością wiadomą. Od siebie twórca nie ucieknie. Każdy człowiek portretowany ma w swych oczach wyraz wzroku nie swój, lecz malarza. Trzydziestu uczniów w szkole rysunkowej postawiony im model wyrysują w 30 odmianach, z których każda ma wyraz kształtu ucznia, nie modela. Zakopane Choromońskiego robi wrażenie jakiegoś Ekaterinosławia czy Ekaterinadaru.

Co do wartości artystycznej. Znaliśmy już przedtem redukcję człowieka, której dokonał socjalizm. Odbiła się ona i w literaturze. O znaczeniu takich przewrotów w sztuce, pomniejszającej życie człowieka, trudno sąd wydawać dlatego, że twórcy przewrotów nie byli nigdy izolowani. Sami korzystali z cywilizacji rodzimej, która była ich kolebką i wprowadzali do sztuki rozmysł artystyczny, ze starej szkoły wyniesiony. Żeromski np. robił socjalistę, ale był wychowańcem społeczeństwa burżuazyjnego. To samo było z prądami ateistycznemi; każdy pisarz tego kierunku miał kulturę środowiska, zbudowanego na motywach chrześcijańskich. Ciekawy będzie eksperyment rosyjski: czy uda się tam wielka sztuka, robiona w atmosferze człowieka zredukowanego przez twórców w swojem człowieczeństwie zredukowanych. Czy nie wróci do prymitywu?¿ Ale i ten eksperyment nie będzie czysty, zostały bowiem w muzeach i bibljotekach bogactwa wzorów dawnych.

Choromański zredukował sztucznie swój kąt patrzenia na świat, ale ma w ręku sztukę człowieka cywilizowanego, spadkobiercy dorobku dawnych wieków. Jest dobrym majstrem, świadomym swej woli twórczej i środków. Ma talent. Jest więc interesujący w swej kompozycji i technice. Dużo przeżył, wiele i dobrze widział, umie komponować obrazy, ma wybitne uzdolnienia psychologiczne. Od naszych posocjalistycznych pisarzy, a bolszewizujących (jak Kaden Bandrowski), którzy, naśladując romantyzm Żeromskiego, wpadli w nieznośny barok, Choromański różni się korzystnie prostotą stylu, umiarem słowa i sumiennością artystyczną. Nie zagaduje nawet gdy powtarza zdarzenia, co nazwałem karuzelą, jego system rotacyjny pogłębia obrazy, ale nie jest istotną cechą jego manjery. Szczytowym momentem jego narracji jest opis operacji w szpitalu — „spec“ w apoteozie.

Historja literatury za lat kilkadziesiąt zanotuje w twórczości polskiej naszych czasów istnienie wpływów literatury neo-rosyjskiej. Był czas — powie ona — gdy literatura była dumna z wynalezienia nad-ludzi, a teraz szczyciła się odkryciem pod-ludzi. Tak to maksymalizm socjalny pociąga za sobą pomniejszanie człowieka.

Z. W.

„WSPOMNIENIA“ Z. JASIŃSKIEGO

NAKŁADEM księgarni F. Hoesicka świeżo wydano „Wspomnienia“ (str. 219) inżyniera Zygmunta Jasińskiego b. ministra kolei, obejmujące lata wojny światowej (1914 — 1918) oraz cztery lata (do 1922) odrodzonej Polski. Autor tych „Wspomnień“, który przez szereg lat zajmował wybitne stanowiska w kolejnictwie austrjackiem, a następnie w polskiem, notuje tu głównie fakty i zdarzenia, będące w związku z jego działalnością zawodową, przedstawia je wszakże na tle ogólniejszych wypadków. „Wspomnienia“ z lat wojny — to zbiór faktów, umożliwiających dokładne zdanie sobie sprawy ze stosunków, jakie zapanowały w kolejnictwie galicyjskiem z chwilą wybuchu wojny, z tego, jaki tu zapanował chaos, jak go zwiększały władze wojskowe swemi niefortunnemi

zarządzeniami, szykanując przytem kolejarzy polskich, sumiennie pełniących swoje ciężkie obowiązki.

Niebrak tu także szczegółów, ilustrujących nieźle nastroje, panujące tu i ówdzie wśród gorliwców austrjackich pochodzenia polskiego. Oto obrazek z Cieszyna: Siedzą sobie w kawiarni nasi kolejarze (dyrektor Rybicki, wice-dyrektor Pawluszkiewicz i autor „Wspomnień") i gawędzą o sprawach zawodowych i o niepewnej sytuacji; przysiada się do nich starosta cieszyński (p. Bobowski) i komisarz polityczny (p. Prek). Sami swoi, rozmowa poufna, można więc wypowiadać się szczerze, chociaż to czasy wojenne. Właśnie dyrektorowi Rybickiemu zebrało się na szczerość, więc rzekł: „Już to Austrja zawsze wyzyskiwała Galicję". — W tej chwili — powiada autor — zrywa się z miejsca pan starosta, przypasuje pałasz, nakłada czapkę na głowę i z teatralnym gestem wygłasza w języku niemieckim taką tyradę: „To jest niesłychane, żeby wysoki austrjacki urzędnik IV rangi wyraził się w tak nielojalny sposób o rządzie. Jako starosta i przedstawiciel politycznej władzy, muszę wyrazić moje oburzenie z tego powodu i oświadczam, że zrobię z tego urzędowy użytek". Poczem bezzwłocznie opuścił lokal, nie pożegnawszy się z nami"... Taka była „cicha rodaków rozmowa" — i pociągnęła ona za sobą niemiłe następstwa, śledztwo i t. p. Są tu także uwzględnione sceny nie tak wstrętne, za to bardziej humorystyczne. Już istnieje rząd polski (koniec 1918 r.), a jego wysłaniec przyjeżdża do Wiednia dla udzielenia wskazówek delegatom likwidacyjnym. „Gdy minister Gałecki" — powiada autor — „wprowadził i przedstawił delegata rządu warszawskiego, szefa sekcji Kauzika, nie mogliśmy wyjść z podziwu, ujrzawszy przystojnego młodzieńca w wieku 25 lat, który z wielką pewnością siebie i swadą przemówił do nas w imieniu rządu polskiego, wzywając nas, weteranów służby państwowej do poświęcającej pracy dla dobra Ojczyzny i t. d.". Z przemówienia „przystojnego młodzieńca" okazało się, że treści było w niem niewiele, na zapytania, jakie mu stawiano, odpowiadał pan delegat ogólnikowo i wymijająco, konferencja więc nie osiągnęła oczekiwanego rezultatu, a nasi likwidatorzy doszli do przekonania, że mogą liczyć tylko na siebie i mają się kierować własnym rozumem...

Bardzo ciekawie opowiada autor, jak to premjer Moraczewski mianował ministrem kolei niejakiego p. Strączka, spensjonowanego naczelnika stacji w Skawinie, a także, jak ten sam p. Moraczewski przychodził do autora, gdy ten został ministrem kolei, i razem z innymi delegatami Związku Zawodowego kolejarzy domagał się ingerencji tegoż w sprawach administracyjnych i personalnych. Ciekawe stronice są poświęcone we „Wspomnieniach" strajkowi kolejowemu, wywołanemu przez agitatorów Z. Z. K. (r. 1921); jak sobie z nim minister Jasiński poradził, uzyskując zgodę Naczelnika Państwa na militaryzację kolei i wprowadzenie sądów doraźnych etc.

Wszystko to — i wiele innych spraw, związanych z pierwszemi latami naszej młodej państwowości — opowiedziane zostało ściśle, objektywnie, tak jak się miało w rzeczywistości. Sądy autora o ludziach są naogół trafne, chociaż dość pobieżne, zawsze jednak umiarkowane i pozbawione jadu, nawet wówczas, gdy autor mówi o swoich przeciwnikach i tych, co mu pracę utrudniali. Wprawdzie czasami autor ma zbyt wygórowane wyobrażenie o galicyjskich „mężach stanu", sam atoli zarysowuje się nam w tych „Wspomnieniach" jako rutynowany, zdolny i sumienny fachowiec, dbały przedewszystkiem o sprawy swego zawodu, zdala stojący od intryg politycznych i karjerowiczowskich zabiegów. Najpewniej dlatego, zamiast pracować dotychczas z pożytkiem naszego kolejnictwa — czego złożył dowody jako kierownik rozmaitych działów służby kolejowej i jako minister — dziś zużywa swoje wczasy na pisanie pamiętników i wspominanie rzeczy minionych. I z tego jednak może wyniknąć jakiś pożytek ogólny.

W. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Historyk, zamierzający pisać dzieje polskiej dywizji Syberyjskiej (5 dyw. Wojsk gen. Hallera), jest w położeniu szczególnie trudnem, gdyż — jak wiadomo — znaczna część oficjalnych dokumentów tej formacji wojskowej została zniszczona po klęsce klukwiensko bałkajskiej dn. 10. I. 1920 r. Ocalała w rozproszeniu tylko ich część drobna; tych zbieraniem mozolnem zajmuje się właśnie Zarząd Archiwum Wojennego (m. in. poszukiwane są brakujące numery „Żołnierza Polskiego w Rosji Wschodniej", stanowiącego najważniejsze obecnie źródło historyczne w tym zakresie). Za źródła służyć też muszą wspomnienia uczestników organizacji i walk dywizji i najważniejszemi tu są pamiętniki: Jerzego Bandrowskiego, Józefa Birkenmajera, Romana Dyboskiego, Przecława Smolika, oraz opracowane w myśl metod wojskowych szkice kpt. Michała Daniszewskiego, mjr. Scholzego, nadewszystko zaś dziełko byłego adjutanta dywizji, mjr. Jana Emisarskiego. Prócz źródeł polskich użyteczne są źródła czeskie (Kudelka i in.), rzadziej rosyjskie (stronnicza mocno książka gen. Sacharowa!) — stosunkowo mało dają francuskie (pamiętniki gen. Janin'a). Z tych cudzoziemskich książek jedna, napisana po rosyjsku przez S t e f a n j ę L u t y k (pseudonim?), a nosząca tytuł „Na Wschód", została świeżo przetłumaczona przez p. M. E m i s a r s k ą (skład główny: Dom Książki Polskiej). Tłumaczka, dobrze świadoma losów wojska polskiego na Wschodzie, opatrzyła przekład swój przedmową, nader pożyteczną, bo dającą czytelnikowi polskiemu należyty wgląd w wypadki, niejednokrotnie mylnie ocenione lub przedstawione przez autorkę. W takiej oprawie książka staje się ważnym dokumentem, a ciekawą jest i sama z siebie. Tragiczne są to dzieje, a tem większe czynią wrażenie, że opowiedziane szczerze i poprostu przez kobietę, gorąco kochającą swój kraj, pełną poczucia honoru. W stosunku do Polaków — pominąwszy kilka wspomnianych nieścisłości — odnosi się autorka życzliwie, chwali ich dzielność, współczuje ich stratom, których prawie była świadkiem w bitwach pod Bołotną, Litwinowem, Tajgą; przez pewien czas, dzięki znajomym Polakom, dostała przytułek w polskim eszelonie kolejowym i towarzyszyła polskiej tułaczce aż do dni rozbicia dywizji. Książka naprawdę ciekawa i wzruszająca. (J. B.)

*

Pewieść J a n a W i k t o r a „Czarna Rózia" (Krak. Wyd. Literacko-Naukowe) jest pod wieloma względami pokrewna słynnej jego „Tęczy nad sercem", która taki sukces zdobyła sobie i w Polsce (dwa wydania u św. Wojciecha w Poznaniu) i zagranicą (przekład niemiecki, czeski i włoski). W obu powieściach bohaterką główną jest żyjąca na bruku miejskim prosta kobieta, ciężką pracą zarabiająca na życie, a nie złorzecząca złym ludziom, którzy ją krzywdzą i wyzyskują. W „Czarnej Rózi" więcej jest brutalnego realizmu, ale zarazem zarówno postać bohaterki, jak i jej tragizm głębiej zostały ujęte. Ta niezmordowana pracownica, która nad siły mozoli się nad wyżywieniem dwojga dzieci, porzuconych przez ojca, ma w sobie imponującą godność wtedy nawet, gdy—uwiedziona przez węglarza, co obiecywał się z nią żenić — czuje się po raz trzeci matką, a jednak przebacza temu, który ją przywiódł do hańby i nowej nędzy. Opowiadanie całe ma styl dla Wiktora swoisty, zwłaszcza w użyciu przenośni; język gwarowy wystudjowany tu jeszcze lepiej, niż w innych dziełach Wiktora.

Jeżeli i w tej książce — jak w „Tęczy", „Burku", czy „Sentymentalnym zającu" — poważną rolę odgrywa pies, towarzysz ludzkiej doli, to całkowicie sprawom zwierzęcym poświęcony jest zbiór nowel Wiktora p. t. „Eros na podwórzu". Nie wszystkie one są równie udane. „Miłość na bezdrożach" jest rzeczą trochę przydługą i zagmatwaną. Najlepsze są te nowele, w których akcja idzie wartko; tu na pierwszem miejscu może stanie doskonały „Lis-Kurodni na łowach" oraz „Przygody wróbla". Wiktor powinien w swej twórczości rozwinąć pierwiastek humoru, którego zadatki dobrze się przedstawiają w tych nowelach, natomiast otrząsnąć się z nalotu sentymentalnego, który na kilku (wcześniejszych snadź) utworach zaciężył poważnie. (J. B.)

TEATR

„UŚMIECH HRABINY"

WYSTAWIONA teraz w teatrze Letnim komedja St. Krzywoszewskiego „Uśmiech hrabiny" daje powód do dyskusji na temat stosunku teatru do publiczności. Kierownicy teatrów niewątpliwie znają się na publiczności, ale z drugiej strony zabardzo ją kochają i rozpieszczają, hołdując jej słabościom. Publiczność warszawską szarpią na wszystkie strony, przyczem odbywa się licytacja *in minus*, jak na Pociejowie. Publiczności dzieje się krzywda, zbyt nizko się szacuje jej dobry smak i za mało różniczkuje. I p. Krzywoszewski, jako prezes teatrów miejskich, w dbałości swojej o powodzenie teatrów trochę przesadza w ocenie gustów publiczności warszawskiej.

Chciałby jej dać do zabawy wszystko, co kultura polska ma najlepszego: lubicie dobrodusznego księdza, macie — bawcie się księdzem; imponuje wam hrabina z pałacu — bawcie się hrabiną. Nie dobrze jest tak psuć dzieci: nie wszystko jest do zabawy. Sztuka (studjum obyczajowe, satyra, dramat) ma prawo do wszystkiego, ale komika musi przestrzegać granic, zakreślonych cenzurą przedewszystkiem dobrego smaku. Nie wierzę, żeby publiczność warszawską, acz śmieje się ze wszystkiego, mogła bawić w sposób miły postać księdza kanonika w interpretacji Fertnera, jako główna

vis comica farsy rewjowej. Staruszek ten w szatach prałata plącze się przez cztery akty w bardzo mieszanem towarzystwie hrabin, żydków, kokot, rozkochanych panienek, pośredniczy w zalotach, słucha sprośnych anegdot, bawi jak klown, pokazując ćwiczenia z karabinem. Podobnie rzecz się ma z siwą matroną rodu szlacheckiego. Przedsiębiorca filmowy wynajmuje ją za 500 zł. do obrazu, który „kręci", a publiczność śmieje się z niej, jak z idjotki.

Nawet się nie chce mówić o obowiązkach wychowawczych. Wydaje mi się, że dobry smak publiczności pada ofiarą źle pojętej konkurencji między teatrem a lokalami rewjowemi. Obie strony robią sobie na złość, zagarniając wzajemnie tereny. Teatr postępuje złośliwie, ale wydaje mi się, że z własną szkodą. Bo właściwie już teraz teatry lepiej stoją, niż teatrzyki rewjowe, a przytem mają zapewnioną przyszłość, której te nie mają. Nie opłaci się więc to współzawodnictwo.

Wystawa sztuki Krzywoszewskiego — wspaniała. Aktorzy znakomici, a przytem dość pomyśleć, jak się przykładają, skoro chodzi o sztukę naczelnego dyrektora teatrów miejskich. Popisowy przytem dobór pięknych i młodych artystek. Przybyła nowa — panna Halama z baletu, bo są tańce w tej komedji. Z najnowszych wynalazków jest kino, oczywiście z żydkami, którzy „kręcą"; bardzo zabawni zdobywcy świata i sekundy bieżącej. Ale żeby aż... domy arystokratyczne urządzały na przybycie trupy filmowej wspaniałe bale, to znowu przesada, legenda dla zabawienia ulicy i połechtania jej ambicji, że wszystko już zrównane z jej poziomem.

W.

KOBIETA, KTÓRA KUPIŁA MĘŻA.

ANEGDOTA o „Kobiecie, która kupiła męża" osnuta jest, być może, na zdarzeniu prawdziwem, które jednakże w transpozycji scenicznej, takiej, jaką pokazano nam w teatrze Polskim, wygląda zgoła nieprawdopodobnie. Z tego powodu, pomimo doskonałej reżyserji i wybornej gry aktorów, przedstawienie zamiast wzruszać widzów dramatycznością, rozśmiesza ich wbrew najoczywistszym intencjom p. Stev'e Passeura, autora u nas jeszcze nieznanego.

Posażna córka zamożnego sądownika na emeryturze, straciwszy narzeczonego podczas wielkiej wojny, zbrzydła i zestarzała się w staropanieństwie. Nagle zakochuje się w młodym i pięknym przemysłowcu i oświadcza się o rękę ukochanego jego ojcu, a swemu dalekiemu kuzynowi. Otrzymuje kosza. Dano jej wyraźnie do zrozumienia, że jest za stara i za brzydka. Młody i piękny przemysłowiec na jej szczęście bankrutuje. Wplątał się w zobowiązania finansowe, które grożą mu kryminałem, jeśli natychmiast nie znajdzie czterystu tysięcy franków. Ojciec jego, który przed kwadransem dał bohaterce sztuki kosza — błaga ją teraz, żeby raczyła wyjść za jego syna. Po pewnych certacjach i grymasach zakochane pannisko idzie do ołtarza. W chwilę po powrocie „młodych" z kościoła, zjawia się kochanka pana młodego i usiłuje nakłonić go do ucieczki. Pan młody, wezwawszy żonę, oznajmia jej, że czuje do niej wstręt nieprzezwyciężony i że, wobec tego, zamierza wyjechać, nie czekając na ucztę weselną. — „Jeżeli wyjdziesz za próg domu"— mówi mu na to panna młoda — „zostaniesz zastrzelony przez mego służącego". — Służący ów jest zbrodniarzem, uwolnionym przez nią z kryminału i gotowym przez wdzięczność do spełnienia każdego jej zlecenia. Pan młody czuje, że pogróżka zostanie spełniona i z ucieczki rezygnuje. Następuje serja scen piekielnych. Małżonkowie pastwią się nad sobą przez długi akt trzeci, na którego końcu bohater sztuki zostaje wykupiony z niewoli małżeńskiej przez swoją dawną kochankę, zwrotem czterystu tysięcy franków posagu, bohaterka zaś popełnia samobójstwo.

Publiczność przyjmowała ten posępny utwór wybuchami hamowanego z trudem śmiechu, nie będąc w stanie współczuć z tragedją heroiny. Nie przeszkadzało to zresztą widzom oklaskiwać frenetycznie znakomitej gry zespołu, z p. Przybyłko-Potocką i Zelwerowiczem na czele.

ZASTĘPCA

FILM

CASINO: „10% dla mnie" rez. J. Gardan.

Mówi się, że dobry dowcip nawet umarłego potrafi w grobie poruszyć. Co do polskich komedyj filmowych — można powiedzieć odwrotnie: potrafią one swoim dowcipem wpakować do grobu niejednego żywego. Od powodzi tych wesołych utworów robi się coraz smutniej. I właściwie recenzent nie powinien pisać sprawozdań z każdego filmu oddzielnie, bo to go zmusza do przepisywania wkółko ciągle tych samych zarzutów. Praktyczniej byłoby przygotować sobie zapas blankietów z wydrukowaną już gotową oceną, z pozostawieniem pustych miejsc na wpisanie nazwisk reżysera i aktorów, oraz kilku przymiotników.

W zestawieniu z pierwszą „komedją" „Ułani, ułani", film „10% dla mnie" wygląda już nieźle, ale niewielka to sztuka konkurować z „Ułanami". Pozatem grzechy, chociaż lżejszego kalibru, ciągle te same; dowcipy nieco szczęśliwsze, lecz ciągle tegoż rodzaju. Oto co pisze, najwyrozumialszy chyba dla filmu naszego człowiek, p. Leon Brun: „Motyw szmoncesowy i motyw trywjalny stały się wnet alfą i omegą produkcji polskiej, wyrodziły się w nowy szablon, w nową „piłę"... (po filmach „patrjotycznych"—przyp. mój).

Jeśli utwór, utrzymany w tonie pogodnym, ma być dowcipny, to inwencja twórcza w tym zakresie obowiązuje również, a raczej przedewszystkiem, reżysera. Powinien ją ujawnić w niespodziewanych i pomysłowych chwytach montażu, trafnej — dla podkreślenia dowcipu sytuacyj — reżyserji. Tu jest kilka dowcipów dobrych, prawdziwie filmowych, resztę pracy złożono na barki aktorów: niech oni zabawiają publiczność. I aktorzy, rewjowo - kabaretowi przeważnie, robią to, robią tak, jak na scenie.

„10% dla mnie" chce być operetką filmową. Ale operetka musi mieć całość, nasyconą rytmem muzycznym, co zahacza również o wartości kompozycyjne. Nie wystarcza to, że aktor od czasu do czasu ustawi się i zaśpiewa, wkładki śpiewane nie czynią jeszcze z całości utworu muzycznego, zwanego operetką.

Debjut p. T. Mankiewiczówny wypadł udatnie: dźwięczny jej głos brzmiał czysto z ekranu.

Żydków i szmoncesów mniej, niż zwykle.

*

FILHARMONJA: „Podróż poślubna we troje" reż. Joe May. B. zręczny i pomysłowy montaż, reżyserja inteligentna, dobre tempo. Wszystkie te zalety pokrywają pewne nieprawdopodobieństwa scenarjusza, o lekkiem zacięciu satyrycznem. Grają Brygida Helm i A. Préjean, ale w kąt ich zapędza swą grą mała blondyneczka, Madelaine Made.

Strona dźwiękowa staranna, zrasta się organicznie z wizualną i efektami muzycznemi uwypukla swą treść.

Całość zrobiona tak inteligentnie, że wartoby na ten film przyprowadzić pod eskortą naszych reżyserów, a potem przepytać na wyrywki, co zapamiętali.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. TADEUSZ ŻUK-SKARSZEWSKI

ZMARŁ w Krakowie w d. 22 stycznia na udar serca ś. p. Tadeusz Żuk-Skarszewski, znany publicysta, literat i tłumacz, w 74 roku życia. Zmarły urodził się w Krakowie w r. 1858, studjował zagranicą. Zajął wybitne stanowisko w publicystyce i na schyłku XIX wieku zapełniał licznemi artykułami łamy petersburskiego, polskiego „Kraju" oraz innych pism polskich. W r. 1918 był naczelnikiem biura prasowego przy komisji likwidacyjnej w Krakowie i korespondentem prasy polskiej w Paryżu, a w latach 1920 i 21 wysłany był przez rząd polski do Stanów Zjednoczonych, celem krzewienia tam propagandy polskiej.

.S p. Zuk-Starszewski jest autorem dwóch bardzo dobrych powieści: w r. 1918 wyszła „Pustka" i w r. 1919 „Rumak Światowida".

Zwłaszcza ta ostatnia powieść budzi podziw świetną zdolnością obserwacji, znajomością świata, wytwornym zmysłem humoru. Obok „Podfilipskiego" Weyssenhoffa pozostanie ona trwale w naszej literaturze jako znakomity przykład satyry społecznej. Napisał też bardzo cenne studjum o St. Wyspiańskim (wstęp do „Dzieł malarskich S. W.", wyd. „Bibl. Polskiej").

Dokonał wielu tłumaczeń z literatury angielskiej i amerykańskiej.

Ś. P. HENRYK GROMBECKI

DNIA 11 stycznia r. b. zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 49, ś. p. Henryk Grombecki, malarz wybitny, obdarzony wysokiem poczuciem odpowiedzialności artystycznej i niezmiernie rzetelny w swoim stosunku do sztuki. Malował niewiele, wystawiał rzadko, wszystkie jego prace były na wysokim poziomie: niewielkich rozmiarów obrazek „Stasia", wystawiony w Zachęcie w r. 1913, jest dziełem, w całego słowa znaczeniu, mistrzowskiem, znakomicie skomponowanem, subtelnem w barwie, wytwornem w rysunku. Przed paru laty ogłosił broszurę pt. „W sprawie Zachęty", poddającą krytyce stosunki, jakie ostatnio zapanowały w tej starej i zasłużonej niegdyś instytucji.

OFENSYWA

ZMIERZCH PAPLI

W ZOOLOGU (na Pradze) staje się często dłużej przed wielkiemi klatami, w których lamparty, wilki, tygrysy, żbiki, rysie, lisy, hjeny jednem słowem drapieżce o sanacyjnej zarłoczności, i także często złe zapachy rozsiewające oraz brudasy. Ale staje się także i przed klateczkami, gdzie takie małe, drobne, figlarne, ćwierkające, kolorowe, pstre ptactwo, jako że też *pour passer le temps* uwagi godne.

Z tej racji dzisiaj małe prześwietlenie tego takiego „Zimorodka", Limanowskiego, Mieczysława oczywiście.

Maurice Rostand ma się tak do Edmond'a Rostanda, jak Mieczysław Limanowski do Bolesława. Wielcy starcy mają często pecha w progeniturze: V. Hugo, Tołstoj, Asnyk, Björnson, Ibsen... Maurace to wyjątkowo antypatyczny bebesyn wspaniałego patrjotycznego barda; jakiś czas się malował i udawał pederanta czy też był serjo notorycznym „mignonem" i ozdobą salonów głównie żydowskich (babcia Stein, Rei-nach-Paris, Badery). Doskonały epizod z jego dzieciństwa daje Rosen w swych „Pamiętnikach". Potem *salonnard* zaczął się popisywać literacko. Były z tego demi-(monde) sukcesy i efektowne skandale (sztuka z Loulou, synem Napoleona III), oklaskiwane przez tę elegancką hołotę, która się zaczytuje w Prouscie i przepada za Niemcami. Poczem powieść pacyfistyczna, przerobiona na film i na sztuczydło. Tłumaczenie tej ideowej *cochonnerie* podstarzałego pedeka jakiś żydłaczek podsunął temu Limanowskiemu jako sensację, na której można grube grosze zarobić; pójdą żydy, bo się w niej Niemców pieści. „Zimorodek", reform-amator teatru w Polsce, zakasał rękawy i wziął się do roboty. Cztery miesiące ofiarnej, katorżnej pracy. Najpierw: „podejście", potem kollekcjonowanie Bractwa z bezprizornych. Potem próby analityczne konkretyczne, psychognostyczne i kosmogoniczne. Potem odczyszczanie tekstu i intymne podsłuchiwanie wewnętrznej treści hermetycznej. Potem dwa tygodnie: eudoksji, mimoterapji i rytmontażu, z określaniem i stabilizacją patosu międzyosobowego. Potem dezynfekcja solistów i odprężanie krzyżujących się kontaktów przypadkowych. Poczem krótkie wyszukiwanie błędnych „sztampów" i eliminacja „sztampów" wraz z systematyczną puryfikacją osnowy i tworzywa. Poczem dłuższy perjod ustalania dyspozycyj przestrzennych i zadecydowanie generalnej orbity malarskiej (i rzeźbiarskiej), wreszcie okres zasadniczy (preparacja wtórna): cyzelowanie, polerowanie, glansowanie. Trzy dni przeżywania przy najsurowszym poście i zamknięciu grupy centralnej w ciemnej, czterowymiarowej samotni (fikcyjnego świata). Wreszcie próba generalna w podziemiach katedry (bez światła), usunięcie ostatnich sztampli, definitywne odczyszczenie tekstu z aktu pierwszego i piątego, zmiana w obsadzie trzech postaci ideonośnych, a wieczorem spektakl czyli misterjum *(szmiracle)*...

No i oto taki archibluffista i fumistyk, taki bujacz i „sztampek" grasuje już po Polsce zdaje się dziesiąty rok! I ciągle, i nadal znajdują się ludzie, którzy nie tylko biorą podniosłego fuszera na serjo, ale których jeszcze ta „reforma" jako nowość bawi. I nadal o amatorskiej tandecie szarlatawca wypisują poważni krytycy całe fejletony, no i podczas gdy kilkuset fachowych aktorów i aktorek nie znajduje chleba powszedniego i normalnego zarobku, dla tego nieuka-ekstatyka, dyletanckiego cwaniaka, spekulanta—jakby górale powiedzieli: „śpekólanta", zawsze gdzieś, skądś, jakaś forsa się znajdzie. Pływak pływa, naciągacz naciąga, wizjonertyje a reform-amator i szef „Instytutu Reduty", paryskiego kokota literackiego Maurice'a: „Człowieka, którego zabiłem" wystawia.

Zakłamańców w sanacyjnej Polszcze jest duży procent. Załgańców stosunkowo mniejszy. Takich jak „profesor" Limanowski najwyżej trzech, czterech, pięciu. W żadnem normalnem społeczeństwie załganiec tak długoby się na powierzchni jednak utrzymać nie mógł. Najwyżej rok, dwa, trzy lata. Ten „ptaszek niebieski", ten zimorodek ćwierka nam już rok dziesiąty. *Kakim sposobom? Quo modo? Quibus auxiliis?* Bo się asekurował w Sanacji. Syn Bolesława Limanowskiego przeszedł do obozu Brzeskiego. Znudziła mu się „bida" i „nendza" opozycyjnych pepesów i radykał, grożący równocześnie „Wielkiem Idącem Jutrem" współpracuje w konserwatywnych pismach. Które więcej płaci, do tego zanosi swe „ekstazy". „Słowo" wileńskie, wielkoksiążęce bokami robi, no to przeszedł do „Gazety Polskiej". Taki to romantyk. I świeci bakę i podlizuje się na wszystkie strony: Wilnu, wojsku, Ojcom Jezuitom, „Cudotwórczej Pani to jest Matce Boskiej Chełmińskiej", Bobrzyńskiemu z „Naszej Przyszłości", Teatrom, Wiśle, Niemnowi, geologom, archeologom i... klientom. Zna się na wszystkiem, wtrącając się we wszystko bo o wszystkiem gotów wylewać wiadra elokwencji (zawsze *fortissime*), z pedałem i z ekstazą, z „gorejącem sercem". Raz broni Barbary Radziwiłłówny jako ten Bayarda raz z „natchnionym" wrzaskiem domaga się kanonizacji królowej Jadwigi (w spadku po Bandurskim). A zawsze z „gorejącem sercem", a zawsze z użyciem takich „sztampek" jak: ogień, wulkan, lawa, Escurial, słońce, miecz, księżyce, Sezam, Logos, Etos, Kosmos, kolumny płomienne, (góry płomieni), znicze, planety, globy; to ściągnięte ze Słowackiego, tamto z Micińskiego, a cała demagogowa maniera od Lutosławczyków czy może jeszcze po... Towiańskim. Literackie „prace" (rapsodje) tego żonglera patetycznego możnaby nawet wydać jako wzory załgania i Kleonowej krzykliwej prozy, jako podręcznik literackiej wiatrologji i dęto-gonji, dykcjonarz *tricków* i *bluffów*.

Niekiedy zaczyna się podejrzewać, że ten „rzeczoznawca" w sprawach baroku (i Maroka) w sprawach Flory i Fauny, Chełmna i hełmów, Tatrów i Teatrów, nablagowawszy kilka centnarów przez dzień (na jawie) w nocy załgiwa się nawet przez sen...

Dziesięć lat zgórą szło mu jako tako i uchodziło na sucho. Kiedy kilkuset zdolnych, wykształconych, solidnych, poważnych pisarzy literalnie gryzło palce z głodu, *cabochien* zalewał bogate pisma swemi *clowneries*, swemi marzeniami i kazał sobie za te pieniące się mydliny jeszcze słono płacić.

Olbrzymi kredyt pietystyczny nazwiska Bolesława Limanowskiego eksploatował w prasie obozu, zacierającego ręce, że takim synem swego ojca i szczycić się, i drażnić, i dogryzać może. Nie drukowaliby tych śmiecidełek rzecz jasna, gdyby to sygnował Malinowski, a nie Limanowski. Z innych placówek i redut teżby usunęli po roku reform amatora, co mniej od suflera w rzeczach teatru się orjentuje, a gada, gada, gada jak opętaniec i między nogami pęta się i plącze... By był tylko Malinowskim.

Limanowskiego Mieczysława tolerowano przez całe *decennium*.

Teraz dopiero zdemaskowano egzaltowanego (na zimno) „śpekólanta".

Obrońca Barbary i kanonizator Jadwigi, licząc na frekwencję Nalewek, chciał przeszmuglować na scenę paryskiego germanofilskiego pedeka jako... ideowca.

Takie „podejście" do Maurice'a Rostanda jednak mu się nie udało. Przetrzepano wreszcie po palcach „ekstatyka" i udowodniono mu, że właściwie to pan jest tandetny kombinator.

Wracajże zimorodku teraz do Tater. Teater Cię zawiódł. Ale „nie miej żalu" do nikogo. Tylko w Brzeskiej Sanacji mogłeś Braciszku grasować tak długo... tak długo!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Powiadają, że poseł z klubu BB, a jednocześnie profesor uniwersytetu katolickiego w Lublinie, od tygodnia głośny w całej Polsce p. Czuma, referent ustawy o zniesieniu autonomji szkół akademickich, podejmując się tego brzydkiego zadania miał pomysł, w całem słowa znaczeniu: machjawelski. Wykombinował mianowicie, że wszyscy wielcy uczeni polscy, usunięci wskutek tej ustawy ze swoich katedr, gromadnie przenosić się zaczną do nie-państwowej Wszechnicy Lubelskiej, która, jako ostatni przytułek swobodnej wiedzy, rozbłyśnie na Polskę i na świat cały chwałą imponującego wszystkim ogniska kultury i pracy naukowej... Sprytnie i przemyślnie kombinować miał p. Czuma, że z Lublina wytworzy tym sposobem nowe Ateny...

Ale to chyba tylko pogłoska, bez żadnego uzasadnienia... Bo jeśliby istotnie nauka miała zakwitnąć w Lublinie, cóżby wtedy miał w nim do roboty—biedny prof. Czuma?

*

W sferach masonerji zapanowała wielka konsternacja z powodu odkryć, jakie poczynił w swym pamiętniku Stresemann, odkryć, oświetlających postać Brianda. Stąd nauka: Nie trzeba niczem narażać się Niemcom, bo mogą ogłosić inne pamiętniki i dokumenty. Czyż taki Beseler lub Lerchenfeld nie mieli notatek i archiwów? Jak to gniewano się na Daudet'a i we Francji i u nas, że krzywdzi Brianda, nazywając go łajdakiem!

*

Gorsze, bo w czasie wojny, były telegramy Nabokowa z Londynu do ministra rosyjskiego Tereszczenki, ujawnione potem przez bolszewików. Ludzie, światłem tego reflektora wydobyci, żyją, dobrze się mają. Briand przynajmniej dyskretnie usunął się przed rewelacją na tamten świat.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA